Nr. 42. Lwów — Środa dnia 20 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. [illegible] ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Śr. | św. Nicefora | Śr. | Fteodora M.
Jutro: Czw. | św. Eleonory | Czw. | Nykyfora M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 6
Zachód „ „ 5 „ 23

Długość dnia g. 10 m. 17
Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 19 lutego.

Wszelkie nierozsądne ustępstwa, czynione, jak się często mówi, dla „świętego spokoju“, nigdy spokoju nie dają, bo zwiększają pożądliwość, która granic nie ma. Świeżym dowodem na to — stosunki belgijskie. Umiarkowane stronnictwa uległy tam niedawno agitacyi żywiołów skrajnych i zaprowadziły powszechne głosowanie, zmitygowane wprawdzie tak zwanym systemem pluralnym, ale zawsze oddające znaczny wpływ na wszystkie sprawy państwowe w ręce pospólstwa, przez to właśnie, że stronnictwa parlamentarne, nawet zupełnie świadome zadań politycznych, muszą się oglądać na tłumy swych wyborców i dlatego często postępują wbrew przekonaniu, aby jeno nie stracić popularności. Tak parlamentaryzm belgijski, oparty na nowych przesadnie demokratycznych zasadach, począł odrazu szwankować: ulica dyktuje deputowanym, a ponieważ owe dyktaty są często niejasne i zmienne, przeto usposobienie parlamentu jest tak chwiejne i chaotyczne, jak prądy powietrzne. Ale i socyalistom już mało ideału, wyrażającego się słowami „co człowiek, to głos wyborczy“. Oto, wystąpili oni z nowem żądaniem, które w swych manifestach, na swych czerwonych chorągwiach, obnoszonych po Brukseli, i na plakatach tak formułują: „Każdemu człowiekowi jeden karabin!“ Znaczy to, że nie powinno być ani stałej armii, ani gwardyi obywatelskiej, lecz każdy Belg ma być żołnierzem i z tego tytułu posiadać wojskowy karabin i pewną liczbę ładunków. Jednak o jakiejkolwiek organizacyi wojskowej socyaliści wcale nie myślą: im idzie tylko o uzbrojenie pospólstwa, bo wtedy w każdej chwili zrobią, co zechcą.

Ta agitacya o karabiny dla tłumów rozwinęła się ze sprawy o nabycie Konga na własność Belgii. Socyaliści i radykałowie burzliwie wystąpili przeciw temu projektowi i swoim zwyczajem, zamiast argumentów, używają krzyku, pochodów ulicznych i haseł kłamliwych, ale łatwo trafiających do mózgu pospólstwa. Wołają tedy na niezliczonych wiecach, że Kongo — to wampir, który będzie ssał krew ubogiego ludu; to zamaskowany militaryzm, albowiem rząd utworzy liczną kolonialną armię, której w potrzebie użyje przeciw ludowi belgijskiemu; to wreszcie zamach kapitalistów na kieszeń ubogich obywateli, bo oczywiście wszelkie niedobory w budżecie Konga będą pokrywane z podatków, a wszystkie dochody z obrotów handlowych zagarną sobie bogacze. W skutek tej agitacyi, która już opanowała prostaczków, chwiać się zaczęli liczni deputowani z większości, trwożliwi o swe mandaty, i już nie ma pewności, że projekt rządowy o nabyciu Konga od króla Leopolda na własność państwa przejdzie w parlamencie.

Pojawiło się mniemanie, że cała ta burzliwa i jak dotąd skuteczna agitacya żywiołów skrajnych jest robotą Anglii, która — jak przypuszczają — sypnęła złotem między socyalistami. Choć Anglia podobnych sposobów nieraz używała i choć każdy rząd obcy tem łatwiej może się uciekać do takich środków, czem większy wpływ tłumów na sprawy państwowe, jednakże to posądzenie ma na swe poparcie jedynie tę okoliczność, iż rząd angielski bez żadnej słusznej racyi zaprotestował przeciw układowi Belgii z Francyą o przyszłość Konga i że podsekretarz stanu w angielskiem ministeryum spraw zagranicznych p. Grey oświadczył w izbie gmin, iż na ów układ Brytania nigdy nie przystanie, a dziś uważa go po prostu za nieistniejący i sprzeczny z prawem narodów. Aby zrozumieć takie stanowisko Anglii, musimy przypomnieć dwie następujące okoliczności. Pierwszą, że gabinet Rosebery'ego zawarł niedawno z Francyą układ, rozgraniczający posiadłości francuskie i angielskie w Afryce, a — jak się okazało — bardzo niekorzystny dla Brytanii, co nadwerężyło stanowisko gabinetu; i drugą — że niedawno, gdy jeszcze nie było mowy o nabyciu Konga na własność Belgii, utworzyło się w Anglii liczne konsorcyum, które już było zawarło z królem Leopoldem kontrakt o długoletnią dzierżawę części Konga, przyczem w owej części miało posiadać wszystkie prawa zwierzchnicze. Kiedy rząd belgijski przekonał się z tego kontraktu, że Kongo przedstawia wielką wartość i postanowił objąć je w posiadanie, natenczas angielskie konsorcyum otrzymało wynagrodzenie strat, ale rząd brytański był bardzo niezadowolniony z takiego obrotu, bo rzecz jasna, że podczas długiej dzierżawy, owo angielskie konsorcyum, obdarzone prawami zwierzchniczemi, potrafiłoby tak zmonopolizować handel Konga, że już ten kraj może na zawsze pozostałby pod wpływem angielskim, jakby jedna z licznych brytańskich kolonii. Po zawarciu konwencyi franko-belgijskiej Anglia musi pożegnać się z tą perspektywą, a to z następującego powodu: Kiedy Kongo przechodziło pod zwierzchnictwo króla Leopolda, Francya zgodziła się na to jedynie pod warunkiem, że w razie, gdyby król chciał komukolwiek sprzedać tę kolonię, to Francya ma prawo pierwszeństwa do kupna; ale wówczas nie przypuszczano, że król może wydzierżawić Kongo na warunkach jak najbardziej dowolnych i w ten sposób obejść układ z Francyą. Więc też w drugim układzie, zawartym niedawno już nie przez króla Leopolda, ale przez rząd belgijski z Francyą, uwzględniono wszelkie ewentualności i w paragrafie pierwszym powiedziano: „Prawo pierwszeństwa, przysługujące Francyi, stosuje się również wtedy, gdy rząd belgijski zamierzy zrobić z jakiemkolwiek mocarstwem zamianę całego Konga lub części jego na inne terytoryum, albo gdy zechce komukolwiek darować lub wydzierżawić całość albo część, albo wreszcie, jeśli pozwoli komukolwiek, a to bądź prywatnym osobom czy spółkom, bądź jakiemuś państwu, korzystać w Kongu z przywilejów handlowych lub politycznych, nieprzyznanych innym państwom“. Z tego postanowienia wynika, że wszelkie prawo do Konga, jakieby kiedykolwiek Belgia uroniła, wnet przechodzi na Francyę. W gruncie rzeczy Anglia nie ma prawa protestować przeciwko temu, albowiem nie poczyniła żadnych zastrzeżeń wtedy, gdy ta kolonia stawała się własnością króla Leopolda, z którą on teraz może zrobić co mu się podoba. Ale cała rzecz w tem, że Anglia zawsze liczyła na to, iż król wcześniej czy później sprzeda lub wydzierżawi Kongo i to oczywiście bogatym a przedsiębiorczym Anglikom, rozumiała zaś bardzo dobrze, że gdyby sama wystąpiła jako konkurentka o Kongo, to mocarstwa jednogłośnie odparłyby te zabiegi. Więc do swego celu zmierzała pośrednio: sama popierała życzenia króla Leopolda, pomogła mu zawrzeć ową pierwszą konwencyę z Francyą, a potem przygotowała własne konsorcyum, które pod firmą dzierżawy miało zawładnąć kolonią. Ten czysto kupiecki plan doskonale się udawał, aż końcu nagle prysnął, bo się Belgii zachciało objąć Kongo. Przeciw temu objęciu Anglia protestować nie może, bo król Leopold, biorąc tę kolonię w posiadanie, uczynił Belgię swoją sukcesorką i na to się wszystkie mocarstwa zgodziły; ale, choć bez jurydycznej racyi, może protestować przeciw teraźniejszej konwencyi z Francyą i może wpływać na pospólstwo belgijskie, aby zmusiło rząd swój do zaniechania projektu objęcia Konga na własność. To właśnie ona uczyniła: pierwsze oficyalnie, a drugie — jak mówią — w tajemnem porozumieniu z belgijskimi socyalistami. Król Leopold i Belgia mają kłopot z Kongiem i mają do czynienia z nowem hasłem socyalistów „każdemu obywatelowi karabin“, ale za to gabinet Rosebery'ego poprawił to, co zepsuł, rozgraniczając się z Francyą w górach Sierra-Leońskich, i zachował nadzieję, że może Belgia jeszcze nie obejmie Konga, a wtedy angielskie konsorcyum weźmie je w dzierżawę, przy której potrafi utrzymać się na zawsze.

Sądy rzymskie poszukują Giolittiego, oskarżonego o oszczerstwo i fałszowanie dokumentów. Wezwanie, aby się stawił przed sądem, przybito w Rzymie na drzwiach jego mieszkania, a jednocześnie opublikowano je w urzędowym dzienniku. Mówią, że wydane będą za nim listy gończe, a ponieważ on teraz przebywa u zamężnej córki w Charlottenburgu pod Berlinem, przeto rząd niemiecki otrzyma od włoskiego prośbę o wydanie „zbiega“. Zbiegiem on jednak nie jest, bo oświadczył redaktorowi *National Ztg.*, że najchętniej stanie przed trybunałem, ale legalnym i we właściwej porze. Legalnym zaś trybunałem dla niego, jako dla człowieka, który był prezesem gabinetu, jest tylko senat, bo tak postanawia konstytucya włoska; a właściwą porą dla rozprawy sądowej jest chwila po rozwiązaniu parlamentu, bo Giolitti jest posłem, więc ścigać go nie wolno bez pozwolenia izby, ona zaś nie obraduje, więc nie ma jak prosić jej o to. Jeżeli jednak sądy włoskie, które przecież wiedzą jakie prawa przysługują Giolittiemu, postanowiły powołać go przed swe forum, wezwanie przybiły do drzwi i ogłosiły w dzienniku urzędowym, to widocznie postępują nie podług ustaw, lecz wedle woli Crispiego. Tak się też na to zapatrują we Włoszech i oburzają się, ale niebardzo i niewszyscy. Półurzędowa prasa tak rozumuje: Giolitti, będąc prezesem gabinetu, porobił nadużycia, aby zgnębić Crispiego, lecz obróciło się koło fortuny i teraz Crispi, będący prezesem gabinetu, robi nadużycie, aby się zemścić. To ich sprawa!

Byłoby tak, gdyby Crispi nie wciągał sądów w koło swych [illegible]. Ale w dzisiejszych Włoszech, jak za Rzymu ostatnich czasów, ten ma racyę, to ma władzę.

Agence de Constantinople ogłasza z upoważnienia Porty, że doniesienie londyńskich dzienników o mobilizacyi tureckiej rezerwy było nieprawdziwe. Tylko w niektórych okręgach wezwano na służbę urlopników, ale i to nie dla jakichś przyczyn politycznych, lecz dla uzupełnienia szeregów, przerzedzonych w skutek dezercyi Ormian i Macedończyków, a także w skutek śmierci.

---

†

Arcyksiążę Albrecht

umarł wczoraj o godzinie ¼ na 2 po południu.

Arcyksiążę Albrecht był najstarszym synem arcyksięcia Karola, sławnego zwycięzcy z pod Aspern, i urodził się w Wiedniu 3 sierpnia 1817 r. Wychowanie otrzymał wojskowe i przy końcu roku 1836 rozpoczął praktyczną służbę w Gracu jako komendant batalionu, poczem przeniesiony został na Węgry jako podpułkownik kirasyerów. Odbywszy w roku 1839 z ojcem podróż do Włoch, udał się następnie w misyi dyplomatycznej do Berlina i Petersburga. W r. 1840 jako jenerał brygady brał udział w wielkich manewrach we Włoszech, którymi kierował Radecki. Przez kilka lat następnych był adlatusem komendanta Morawy. W r. 1848 pojechał do Włoch i na ochotnika wziął udział w wyprawie Radeckiego przeciw królowi sardyńskiemu Karolowi Albertowi i odznaczył się w bitwie pod Santa Lucia. W grudniu 1848 otrzymał komendę nad dywizyą, idącą w przedniej straży i z nią oparł się pod Mortara przeważnej sile nieprzyjacielskiej, a 23 marca 1849 przyczynił się niemało do zwycięstwa pod Nowarą i otrzymał za to najwyższą dekoracyę wojskową, krzyż Maryi Teresy. Po bitwie pod Nowarą wkroczył arcyksiążę ze swą dywizyą do księstwa Toskańskiego i brał udział w zdobyciu Liworna. Powróciwszy z Włoch, został gubernatorem twierdzy związkowej Moguncyi, a w r. 1851 komendantem trzeciej armii i jeneralnym gubernatorem Węgier i na tem stanowisku pozostawał lat 9, aż do zniesienia absolutnych rządów na Węgrzech. Następnie był kolejno komendantem korpusu w Vicenzy, prezesem rady marszałkowskiej, jeneralnym inspektorem armii, a w r. 1863 został marszałkiem polnym. Podczas wojny włoskiej w r. 1866 dowodził arcyksiążę Albrecht armią południową i odniósł 24 czerwca 1866 świetne zwycięstwo pod Custozzą. We wrześniu 1866 został jeneralnym inspektorem wszystkich wojsk austryackich i na tem stanowisko położył ogromne zasługi przez przeprowadzenie reorganizacyi całej armii. Od lat kilkunastu spędzał sędziwy arcyksiążę zimę w Arco, w Tyrolu, gdzie wybudował sobie piękny zamek. Także w literaturze wojskowej pozostawił zmarły arcyksiążę trwałe ślady swej działalności. W r. 1868 napisał bowiem rozprawę p. t. „Jak należy zorganizować armię austryacką“, a w roku 1869 wydał obszerną pracę p. t. „O odpowiedzialności podczas wojny“, którą przetłómaczono na język angielski i francuski. Arcyksiążę Albrecht był jednym z najbogatszych właścicieli ziemskich w monarchii. Spadkobiercą jego jest najstarszy jego synowiec arcyksiążę Fryderyk. Wdowcem był zmarły od lat przeszło trzydziestu, dzieci miał troje: syna Karola, zmarłego w wieku dziecięcym i dwie córki: Maryę Teresę i Matyldę. Ta ostatnia umarła w kwiecie wieku, bo w ośmnastym roku życia, skutkiem nieszczęśliwego wypadku. Przypadkiem bowiem zajęły się jej suknie i biedna arcyksiężniczka strasznie poparzona, w kilka godzin później, skonała. Przy życiu jest jeszcze tylko najstarsza córka arcyksięcia Marya Teresa, urodzona w roku 1845 i zamężna za księciem Filipem Wirtemberskim.

Z życia zmarłego podają dzienniki wiedeńskie wiele zajmujących szczegółów. Był on całą duszą żołnierzem i żył tylko dla armii, polityką nigdy się nie zajmował. Robił wiele dobrego, ale po cichu, o popularność nigdy nie dbał. Podczas rozruchów wiedeńskich w marcu r. 1848 zebrane przed parlamentem tłumy insultowały arcyksięcia. Z tłumu rzucono nawet kawałek drzewa, który ugodził arcyksięcia w głowę i skaleczył. Wtedy to wojsko dało ognia do tłumów. Wypadek ten uczynił arcyksięcia niepopularnym w Wiedniu, gdyż mówiono, że to on kazał strzelać, co jednak było nieprawdą. Po tym wypadku złożył arcyksiążę swój urząd, pojechał do Włoch i na ochotnika wstąpił do armii Radeckiego, gdzie się tak odznaczył.

„Manon Lescaut“

najnowsza opera włoska G. Pucciniego.

Mascagni, Leoncavallo, Puccini i Franchetti, oto czwórka najznakomitszych teraźniejszych kompozytorów włoskich. Mascagniego i Leoncavallo poznaliśmy już w „Kawaleryi“ i w „Pajacach“, teraz kolej na Pucciniego, którego operę „Manon Lescaut“ ujrzymy na naszej scenie we czwartek.

Opera Pucciniego jest trzecią z rzędu operą noszącą ten sam tytuł i opowiadającą za pomocą orkiestry i śpiewu historyę miłosną awanturnicy XVIII stulecia, opowiedzianą już w doskonałej prozie sto lat temu przez księdza Prevost. Opera Pucciniego jest więc muzyczną illustracyą wspomnianego romansu, tak samo jak nią były opery Aubera i Masseneta, noszące także tytuł „Manon Lescaut“. O operze Aubera dawno już zapomniano, utworowi Masseneta zarzucono, iż cierpi na chroniczną anemię, że nie posiada dość siły do należytego oddania namiętności gwałtownych i sytuacyi dramatycznych, w jakie „Manon“ obfituje.

Puccini przeciwnie: czulić się nie umie, ale za to w jego słowniku muzycznym nie brak wyrażeń głębokich, namiętnych, silnych aż do brutalstwa. Jest on mistrzem w malowaniu tonami scen tragicznych, wstrząsających, szarpiących na strzępy nerwy słuchacza.

Puccini, podobnie jak wszyscy przedstawiciele „młodych Włoch“ (to jest Mascagni, Leoncavallo, Franchetti, Samara), nie czuje upodobania w płynnej, szerokiej melodyi, lekceważy ją dlatego, że nie nadaje się do wiernej charakterystyki osób działających na scenie, źle ich uczucia tłómaczy i szkodzi prawdzie dramatycznej. Pod tym więc względem Puccini, jako prawdziwy „werysta“ idzie ręka w rękę z kolegami swymi i nie daje się im wyprzedzić. Że jednak jakimś przecie materyałem muzycznym musi się posługiwać przy charakterystyce bohaterów sztuki, posługuje się więc — orkiestrą.

Myśl to nie nowa, bo zapożyczona od Waguera. Tylko gdy mistrz niemiecki tak umiejętnie kojarzy z sobą wszystkie czynniki składające operę, że zarówno partye śpiewaków jak i orkiestry, każde z osobna mają coś ciekawego do powiedzenia, to u werystów włoskich, a więc i u Pucciniego, śpiewacy powtarzają niewolniczo to, co im orkiestra podpowiada. Ta idealna zgoda wyradza się nieraz w monotonię. Każdej melodyi, jaką Puccini powierza śpiewakowi, prawie stale towarzyszą skrzypce w wyższych pozycyach, bądź w unisonie, bądź w oktawie, nierzadko wsparte instrumentami dętymi, również prowadzonymi w unisonie. Wiele nawet takich miejsc znajduje się w partycyi Pucciniego, w których tylko drugie skrzypce i altówki stanowią cały podkład harmoniczny, wszystkie zaś pozostałe instrumenta wzmacniają melodyę, powierzoną śpiewakowi. Oto ogólna charakterystyka opery Pucciniego. Przejdźmy teraz do szczegółów.

Manon i kawaler des Grieux spotykają się przypadkowo na stacyi pocztowej w Amiens. Ona dążyła do klasztoru, dokąd ją opiekun chciał przymusem oddać, on w gronie kolegów-studentów szydzi z strzał Amora i wyrzeka się święcie więzów miłosnych. Spotkanie dziewczęcia niweczy te zamiary. Pod palącem spojrzeniem uroczej Manony drga w sercu des Grieux jakaś tkliwa nuta nieznanego mu dotąd uczucia. Pokorny, drżący ze wzruszenia zbliża się nieśmiało do czarodziejki i lękliwem wita ją słowem. Manon czule mu odpowiada, bo i on — jako kawaler gładki — głębokie na niej wywarł wrażenie. Po kilku chwilach oboje już są w sobie na śmierć rozkochani i decydują

---

4)

Nasze dotychczasowe wiadomości o cholerze.

Napisał **dr. Wojciech Urbański.**

(Ciąg dalszy).

Korzystając z tych doświadczeń, zrobionych na rekonwalescentach po cholerze, nie trudno zrozumieć:

1) Jakim sposobem epidemia cholery w pewnej miejscowości na pozór wygasła, po dniach kilkunastu znowu napowrót wybuchnąć może i to nawet z większą jeszcze niż przedtem intenzywnością. Wszak mógł tam dawny jaki rekonwalescent zdeponować swoje już normalnie wyglądające dejekta w takiem miejscu, z którego one np. deszczem spłukane, dostały się do wody, używanej przez mieszkańców do picia, jak się to istotnie wydarzyć musiało w Livornie podczas ustania ostatniej epidemii cholerycznej w jesieni roku zaprzeszłego (1893), która już całkiem była przycichła, potem zaś w dniu 13 października na przedmieściu Venezia na nowo wybuchła, do 17 października liczne ofiary zabierała i dopiero po wyłączeniu z wodociągu rury, prowadzącej wodę bakcyllami zakażoną, około 23 października całkiem i niepowrotnie wygasła. W wodzie, na tem przedmieściu do picia używanej, znachodziły się zupełnie takie same bakcylle, jak w pierwszym okresie epidemii na innych przedmieściach Liworna, tudzież jakie w stolcowych wydzielinach wszystkich tu na cholerę teraz zapadających izolować potrafiono. Zanieczyszczenie więc wody do picia zarodkami cholerycznemi niezawodnie przez jakiegoś rekonwalescenta nastąpić tam musiało.

2) Jakim sposobem ona u nas może przezimować (co już nieraz bywało w Rosyi i gdzieindziej), kiedy „przecinki“ (jak uczy Koch i jego szkoła) [illegible] na zewnątrz z jelit człowieka, prędko marnieją i nie mogąc się długo opierać wpływom wilgoci i niskiej temperatury, „na dworze“ giną niepowrotnie.

Dr. Koch nie uczy bynajmniej, że cholerynki w zimie na wilgoci i mrozie zimują, lecz utrzymuje przeciwnie, iż przezimowanie cholery odbywa się najprawdopodobniej w jelitach ludzkich i to (rozumie się) nie jednego człowieka, ale więcej ludzi do tego nieszczęsnego udziału przypadkiem succesive zmuszanych, — co też dr. Kolle (obserwator epidemii cholerycznej w Szczecinie), jak to wyżej powiedziano, w całości potwierdza. Przypadki, które on z własnej swej praktyki przytacza, tudzież wypadek dra Dönitza z Bonnu stwierdzają zdanie Kocha o niemożliwości utrzymywania śladu szerzenia się cholery w tym samym większym budynku (nie mówię już w tem samem mieście) lub odnajdywanie nici przewodniej dla cholery, przerzucającej się z jednego miejsca na drugi, zwłaszcza przy lekkich wypadkach cholery...

Okazuje się też zarazem, jak wielką ilość zarazków jeden taki człowiek do infekcyi dostarcza, zwłaszcza, gdy zaraźliwe dejekta jego dostaną się do publicznych ścieków kanałowych, lub do studzien miejscowych albo do rur prowadzących wodę do picia ze zbiorów mających wadliwą konstrukcyę filtrunkową, jak się to wydarzyło w l. 1892 i 1893 w Hamburgu, Altonie i w zakładzie obłąkanych w Nietleben, gdzie sprawdziło się przysłowie polskie: „Mądry (ale już nie Polak lecz) Niemiec po szkodzie.“

Skoro tylko na rozkaz landrata zamknięto całkiem wodociągi źle filtrowanej wody, w zakładzie obłąkanych w Nietlebenie, zaraz epidemia się przełamała i wkrótce cholera całkiem ustała.

Co do kwestyi, czy są wiadome jakie znaki, któreby nazwę „genius epidemicus cholery“ otrzymać mogły, oświadczam krótko, iż pewnych i niezawodnych znaków bliskiego wybuchu epidemii cholerycznej w danem miejscu nie ma. „Genius epidemicus“ nie egzystuje i nie było go nigdy i nigdzie w rzeczywistości. On tylko w imaginacyi wszystkich ludów rozkoszował, dopóki kultura ich umysłowa jeszcze w pieluchach spoczywała. W dalekiej, bardzo dalekiej starożytności, np. u Akkadów (górali starej Babylonii) 6 do 7000 lat temu, wiara w różne bogi, dobre i złe duchy, geniusze i demony była powszechną. W średnich wiekach czarodzieje i czarownice płatały ludziom różne figle i nieszczęścia przy pomocy złych duchów. Dzisiejszy genius epidemicus, na ustach niektórych lekarzy i wielu nielekarzy pojawiający się, nie jest ani starożytnym demonem, ani średniowieczną czarownicą, lecz tylko czczą i bezmyślną formułką, która jak wiele innych takich wyrażeń ma raczej zadanie pokrywać brak znajomości rzeczy, o którą się ktoś pyta, bez zdradzenia tajemnicy, iż się jej nie wie i do tego nie chce się przyznać.

U nas we Lwowie bywały w ostatniem trzyleciu, jak zawsze co roku pod koniec lata (w czasie dojrzewania ogrodowin i owoców) częste i liczne wypadki dyaryi, choleryny, nawet sporadyczne wypadki cholery w r. 1893 i 1894 u przybyszów z okolic zacholerzonych, a do wybuchu epidemii cholerycznej ani razu nie przyszło, chociaż w Galicyi w ostatnich dwóch latach ledwo nie w każdym obwodzie długie i ciężkie epidemie choleryczne panowały.

Toż samo było w Wiedniu, Berlinie i w zakładzie obłąkanych w Nietlebenie. W Berlinie w r. 1892 i 1893 zdarzały się liczne biegunki i nawet sporadyczne wypadki cholery u przybyszów z Rosyi i Hamburga, a po nich ani razu epidemia choleryczna nie nastąpiła. W Nietlebenie w jesieni 1892 r. było w październiku 73, a w listopadzie i grudniu także po kilkanaście, zatem razem przeszło 100 wypadków dość silnej biegunki, potem nastąpiła cisza, a dopiero 14go stycznia 1893 r. wybuchła gwałtownie choroba z wszystkiemi znamionami cholery typu pierwszego (ob. moją obszerniejszą rozprawę), nikt zaś przedtem geniusza epidemicznego ani na niebie Nietlebeńskiem, ani na ziemi w zakładzie nie widział.

Pomiędzy owymi stu na biegunkę chorymi mógł się znajdować jeden lub drugi rekonwalescent po przebytej we Włoszech lub w Hamburgu cholerze, który (jak staruszka w Sallingen pod Bonnem) w jelitach swoich tygodniami hodował bakcylle choleryczne, sam tego nie wiedząc. Na dozorcę do zakładu przyjęty, żyjąc jak człowiek całkiem zdrów, wyrzucał dejekta swoje do głównego kanału, odprowadzającego ze ściekami, pomyjami, wodą z łazienek wszelkie nieczystości na pola ryslowe zakładu dla poprzedniego filtrunku, nim się dostaną do rzeki Sali. Te zaś były zamarznięte i grubą warstwą lodu pokryte, zatem nie spełniały swego przeznaczenia i brudna woda z bakcyllami chol. dostawała się wprost do niżej położonego urządzenia pompowo-filtrunkowego, a ztąd prosto do rur wodociągowych, zaopatrujących zakład w potrzebną wodę. Nie starożytny więc demon lub średniowieczny czarownik był tu poprzednikiem wybuchłej później cholery, lecz prosty nikomu niewiadomy śmiertelnik, który w swoich jelitach przyniósł dawniej wrogie zarodki cholery do zakładu obłąkanych.

Drogi nareszcie, jakiemi grzybki choleryczne dostają się do jelit ustroju ludzkiego, są przeróżne. Wszystkie jednak ostatecznie wiodą do ust, a od ust przez gardło i żołądek do jelit cienkich. Najłatwiej dostają się one tam z wodą do picia, chociaż to samo następuje też nieraz z pokarmami, tudzież ze śliną z ust, językiem w głąb gęby sprowadzoną i następnie połkniętą. Na usta zaś dostają się one najczęściej z palców u rąk, któremi się wszystkiego dotykamy i najrozmaitsze rzeczy bierzemy, np. stare papierowe pieniądze i brzęczące monety, na których masy najrozmaitszych grzybków spoczywają, bułki w sklepach i owoce, które już nie jeden brudas miał w swem ręku i po obejrzeniu znowu na „ladzie“ położył, i t. d... Praczki i inni domownicy biorą do rąk powalaną dejektami bieliznę i pościel chorych, tudzież odzież, najczęściej jeszcze odrażaniu nie poddaną i zaraz potem rąk dla desinfekcyi karbolem nie obmywają, do ust zaś bezmyślnie palce zbliżają, (mężczyźni z nałogu do częstego podkręcania wąsów i głaskania brody, kobiety zaś z innych znowu przyczyn). Po wsiach w chatach chłopskich cebrzyki i konewki stoją na wilgotnej ziemi, już to przy drzwiach, już to przy „tapczanach“, na których nieraz cała rodzina sypia razem. Jeśli się wydarzą u którego z jej członków laksacye lub wymioty, bardzo często dostają się te dejekta wprost na ziemię w chacie obok takiej konewki lub cebrzyka, a że czystość hygieniczna nie jest tam wcale znaną, tem mniej przestrzeganą, obmycie tych naczyń u spodu odbywa się dopiero przy potoku lub studni podczas naczerpywania wody do użytku domowego i tym sposobem baccylle choleryczne dostają się wprost do wody w konewce, a z wodą do garnka, do gęby i do jelit domowników. Na dowód tego twierdzenia przytoczyłem we wspomnianej rozprawce mojej wiele przypadków zarażenia się cholerą przez bakcyle z wodą wypite w ostatnich epidemiach od r. 1892 do 1893/4 w Hamburgu, Altonie, zakładzie obłąkanych na Nietlebenie i poniżej tego miejsca w miasteczkach i wioskach w Throtha, Wettinie, Crölwitzu, nad tym samym brzegiem Sali położonych, tudzież w Królestwie polskiem nad Wisłą (dr. Bujwid), w Rydze (dr. Heerwagen), na Węgrzech wzdłuż Cisy, w Galicyi nad Zbruczem i także nad Wisłą pod Krakowem (na Podgórzu).

Wszędzie uznano wodę za najpowszechniejszą i najbezwzględniejszą roznosicielką cholery. Nie robi się jednak tem orzeczeniem konkurencyi ludziom samym, którzy według podanych tu wiadomości do najbardziej niebezpiecznych transporterów tej, równie jak i wielu innych chorób zaraźliwych należą, jeśli nie mają świadomości swych obowiązków względem bliźniego i chęci wypełniania sumiennie tych obowiązków.

(Dokończenie nastąpi).

się na ucieczkę do Paryża. Liczne motywa melodyjne tego duetu miłosnego są prześliczne i nacechowane głębokiem uczuciem. Akt ten kończy przedziwnie piękny chór studentów.

Akt drugi przenosi nas do Paryża, do salonów bogacza Geronta, u którego Manon mieszka. Bogacz otacza ją zbytkiem, obsypuje klejnotami, urządza serenady, sprowadza madrygalistów dla rozrywki. Więc też autor odstępuje od form muzyki nowoczesnej, sięga do *zopfu* i z jego pomocą szkicuje tło archaiczne, na którem rozgrywa się akcya całego tego aktu. I to mu się doskonale udało. Pierwsza scena „tualetowa" Manony iskrzy się dowcipem, wabi lekkością stylową, zajmuje żwawą rytmiką. Madrygał na pięć głosów żeńskich mile wpada w ucho, dzięki ślicznej melodyi i wdzięcznemu kolorytowi instrumentacyjnemu. Następująca scena menueta (lekcya tańca), również rzucona na tło stylu *roccoco*, sprawia wrażenie miniatury muzycznej delikatnie wykończonej w szczegółach, barwnej dla oka, wdzięcznej dla ucha.

Dokończenie nastąpi.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 19 lutego.

P. wiceprezydent dr. Marchwicki zagaiwszy wczorajsze posiedzenie, przemówił w te słowa: „Dziś o godzinie 1-szej w południe zakończył życie Najdostojniejszy arcyksiążę Albrecht. Nie jest moim zamiarem podnosić w tej chwili ogromu straty, jaką poniosła armia austryacka przez śmierć bohaterskiego wodza, który na różnych polach walki, prowadził ją do zwycięstw, pragnę tylko, aby w tej ciężkiej godzinie żałoby, myśli i uczucia nasze skupiły się około osoby naszego ukochanego Monarchy i całego Jego domu, z którym miasto nasze zawsze dobre i złe dzielić zwykło chwile. Dlatego czynię wniosek: Reprezentacya miasta upoważni prezydyum, aby udało się do JE. p. Namiestnika z prośbą złożenia u stóp tronu obok wiernopoddańczych uczuć, wyrazy naszego najgłębszego żalu z powodu żałoby, jaka okryła dom cesarski". Radni, stojąc, wysłuchali przemówienia i wniosek p. wiceprezydenta jednogłośnie przyjęli.

Przystąpiono do porządku dziennego: wolne miejsca nauki śpiewu w Towarzystwie „Lutnia" nadano: Maryi i Michalinie Ardanównym, Michalinie Kulińskiej, Walentemu Kruszelnickiemu i Zygfrydowi Golisowi, stypendya z fundacyi im. śp. Karola Kiselki nadano: Julii Żukiewiczównej i Wilhelmowi Krzyżanowskiemu. Powzięto drugą uchwałę w sprawie zakupna realności Lewkowiczów przy pl. Gołuchowskich, postanowiono utworzyć dwie nowe ulice: jedną łączącą ulicę Młynarską z Zamarstynowską, drugą, łączącą ulicę Snopkowską z boczną drogą idącą od ulicy Jabłonowskich, dostawę obuwia dla miejskiej straży powierzono p. Bazylemu Smolnickiemu; dostawę mundurów zaś p. Engelbertowi, obu na rok jeden i na wniosek p. Mikulińskiego) polecono magistratowi, aby na dostawę tych przedmiotów rozpisywał corocznie licytacyę najdalej od 1 września.

Długą dyskusyę wywołała sprawa zmiany postanowień zarysu aktu fundacyi śp. Romana Ducheńskiego. R. dr. Dzędzielewicz jako referent tej sprawy wniósł w imieniu sekcyi V, aby Rada zmieniła postanowienia aktu fundacyjnego w ten sposób, by na przyszłość stypendya z tej fundacyi pobierać mogli także uczniowie państwowej szkoły przemysłowej, kształcący się na rzemieślników. Wnioskowi temu sprzeciwił się p. r. Michalski. Podniósł on, iż ś. p. Ducheński przeznaczył swą fundacyę na najbiedniejszych chłopców, terminujących w prywatnych warsztatach i postanowienia tego Rada zmieniać nie powinna. Uchwalając wniosek referenta Rada wcale nie będzie działała po myśli testatora, który chciał—i wolę swą wyraźnie wypisał w testamencie, aby ciężko zapracowane przez niego pieniądze dostawały się w ręce ubogich terminatorów, którzy z nikąd żadnej nie mają pomocy. Szkoła przemysłowa ma dla siebie osobne stypendya i mieć je zawsze będzie. Rada nie powinna przeto przez uchwalanie wniosku referenta odbierać stypendyów biednym terminatorom i krzywdzić ich. Powyższe wywody poparli pp. Sembratowicz, Kordys, Weigel.

W obronie wniosku p. referenta wystąpił p. r. Blumenfeld, przemawiali nadto w tej kwestyi pp. dr. Piętak, Solecki i Ciuchciński poczem na wniosek dra Weigla uchwalono sprawę tę odroczyć i polecić magistratowi, aby przedłożył Radzie oryginalny, notaryalnie potwierdzony, odpis testamentu ś. p. Romana Ducheńskiego.

Na posiedzeniu tajnem prezentę na posadę stałego gr. kat. katechety w żeńskiej szkole wydziałowej im. królowej Jadwigi nadano ks. Bazylemu Nawrockiemu i stabilizowano dra Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego na posadzie kierownika miejskiego biura statystycznego. Na tem obrady zakończono.

MAŁY FELJETON.

Jak zważono ziemię naszą.

W sali ratuszowej, napełnionej po brzegi, wygłosił w niedzielę dnia 17 b. m. profesor politechniki p. Gostkowski wykład p. t. „Jak zważono ziemię naszą?" Z powodu bardzo zaciekawiającej i pouczającej treści wykładu, przytaczamy go o ile możności słowami prelegenta.

Jak zważono ziemię naszą? Pytanie to łatwiej postawić niż dać na nią odpowiedź. Jeżeli pani domu chce zważyć kawałek cukru, kładzie go na szalce wagi, i rzuca na drugą szalkę tyle ciężarków, ile do zrównoważenia cukru potrzeba. Chcąc w podobny sposób zważyć kulę ziemską, trzebaby przedewszystkiem mieć w przestrzeni punkt, dla zawieszenia olbrzymiej wagi, w jednej z szalek mieściłaby się ziemia, na drugiej zaś równoważące ją ciężarki. Punktu takiego szukał w mglistych czasach starożytnych wieków daremnie Archimedes. Przypuściwszy, żebyśmy mieli taki punkt i na nim zawiesili wagę, pytanie, czy przeważyłaby szala, na której by spoczywała bryła ziemska, gdyby w drugiej szalce nie było ciężaru? Szala by się nie przechyliła, bo ziemia nie mając nic, coby ją w dół ciągło, żadnego ciężaru miećby nie mogła. Ważenie w ten sposób już z tego względu byłoby więc niemożliwem. Zresztą mówiąc nawiasem, szalki zawieszone na sznurach nie mogłyby wisieć pionowo, bo niebyłoby pod niemi nic, coby je do zawisania w pionie zmuszało. Szalki zwróciłyby się ku słońcu, które je do siebie ciągnie, a w takim razie ważyć by można ziemię, to jest oznaczyć jej ciężar względem słońca, a nie ciężar absolutny, o który nam się rozchodzi. Więc jeżeli już nie w całości, to może dzieląc ziemię na części i ważąc każdą cząstkę z osobna, dałby się oznaczyć całkowity ciężar ziemi?

Ziemia nasza składa się z kamieni, metalów, gliny, wody, powietrza i t. d. — gdybyśmy więc wiedzieli ile metrów sześciennych zawiera bryła ziemska kamienia, ile metrów gliny, metali i t. p. to przy znajomości ciężaru metra sześciennego każdej z tych części składowych, dałby się całkowity ciężar ziemi oznaczyć.

Lecz gdzież jest ten człowiek, który potrafiłby obliczyć ile metrów sześciennych kamienia, gliny, złota, wody zawiera nasza ziemia? Gdyby kto nawet tajemnicę tę, dzisiaj Bogu tylko wiadomą, zdradził, to jeszcze nie byłoby się w stanie ciężaru ziemi oznaczyć, z tej prostej przyczyny, że metr sześcienny kamienia n. p. na powierzchni ziemi waży mniej, aniżeli w pewnej jej głębokości. Nie dosyć przeto wiedzieć jaką objętość zajmują składowe części ziemi, ale trzeba nadto znać jeszcze ich rozmieszczenie.

Widzimy z tego, że zamiar zważenia ziemi bądź to w całości, bądź częściowo, natrafia na trudności, których człowiek nigdy zwalczyć nie zdoła. Nie pozostaje mu więc nic innego, jak tylko droga rozumowania. I rzeczywiście tą drogą idąc, doszedł on do celu. Nie jest moim zamiarem, powiada prelegent, prowadzić słuchaczy przez cały labirynt zawiłych rachunków, lecz chcę skreślić przebieg myśli, na których on polega.

Litr wody spada ku ziemi dlatego, że go ziemia ku sobie ciągnie, a spada coraz szybciej, bo ziemia ciągnąć nie przestaje, co sprawia, że do uzyskanej już szybkości, co raz nowa szybkość przybywa. Miarą siły ciężenia, będzie więc przyrost szybkości, wypadający na sekundę. Dziewiętnastoletni Galileusz spostrzegł w roku 1583, że lampa zawieszona w kościele katedralnym w Pizie, wabając się na długim sznurze, potrzebuje do przebycia łuku, zawsze jednego i tego samego czasu, bez względu na to, czy droga jej jest dłuższą, czy krótszą. Pragnąc sprawdzić to spostrzeżenie, które mu się prawdopodobnem nie wydawało, mierzył czas wahnienia, w braku zegarków, bo te wówczas jeszcze nie były wynalezione, szybkością uderzeń pulsu swej ręki i tym sposobem nietylko przekonał się, że spostrzeżenie jego było trafnem, ale nadto odkrył nowe prawo, któremu podlega ruch wahadłowy, a za pomocą którego, ze zdumiewającą prostotą oznaczyć się da przyrost szybkości wolnego spadu. Prawo to zaś, które doświadczenie dwóch wieków najzupełniej stwierdziło, skreślić się daje w sposób następujący:

Przyrost szybkości wolnego spadu wypadający na sekundę, znajdziemy dzieląc iloczyn z długości wahadła i kwadratu ludolfiny, przez kwadrat czasu potrzebnego do jednorazowego wahnienia. Wahadło mające n. p. dwa metry, to jest 200 cm. długości, potrzebuje do wykonania 10 wahnień trochę więcej, niż 14 sekund, do jednego wahnienia przeto, więcej niż 1·4 sekundy; skutkiem tego wypada, podług wspomnianego prawa, że wolno spadające ciało, przyspiesza bieg swój co sekundę nieco mniej niż o:

$$\frac{3{\cdot}14 \times 3{\cdot}14 \times 200}{1{\cdot}4 \times 1{\cdot}4} = 1000$$

centymetrów, czyli 10 metrów.

Licząc dokładniej, wypada 9·81 m. Podobnie jak ludolfina, otrzymała i ta liczba swoję nazwę, dano jej bowiem znak g.

Wypada więc: $g = 9{\cdot}81$ m.

Ziemia przyciąga przeto do siebie ciało tak silnie, że ciało to spadając, przyspiesza bieg swój co sekundę blisko o 10 metrów.

Gdyby ziemia nasza była kulą z wody, to przyciągałaby ku sobie ciała mniej silne, bo woda jest mniej zbitą masą, aniżeli bryła ziemi, skutkiem tego spadające ciała nie przyspieszałyby biegu swego tak silnie, jak to się na rzeczywistej ziemi dzieje.

Gdyby nam więc było wiadome, ile razy spieszniej spada ciało na rzeczywistej ziemi, od ciała spadającego na urojoną ziemię z wody, to byśmy przez to samo wiedzieli, ile razy jest gęstszą kula ziemi od równej jej wielkością kuli wodnej. Gdybyśmy n. p. wiedzieli, że bryła naszej rzeczywistej ziemi jest pięć razy gęstszą od równie wielkiej kuli wodnej, to znalibyśmy zarazem i ciężar naszej ziemi, bo wiemy, że litr wody waży kilogram, a więc ziemia nasza waży na każdy litr swej objętości pięć kilogramów. Zadanie byłoby więc rozwiązanem, gdybyśmy znali objętość ziemi.

Chodzi więc o to, ażeby znaleść przyspieszenie wolnego spadu, sprawione przyciąganiem kuli wodnej, mającej wielkość ziemi. Dajmy temu przyspieszeniu znak k podobnie jak przyspieszeniu siły ciążenia ziemi, dano znak g, to w takim razie fizyka uczy, że, skoro r wyraża wielkość promienia ziemi, mierzoną w centymetrach, ziemia nasza ważyć będzie

$$\left(\frac{g}{k}\right) \cdot r^2$$

gramów. (1 centimeter sześcienny wody waży 1 gram). Ziemia nasza waży więc tyle gramów, ile otrzymam, mnożąc stosunek g do k przez kwadrat promienia ziemi.

Chcąc więc oznaczyć ciężar ziemi, muszę znać trzy rzeczy: g, k i r, to jest, przyspieszenie biegu ciał spadających na ziemię rzeczywistą, przyspieszenie spadu na równie wielką kulę z wody, i promień naszej ziemi, wszystkie trzy liczby odniesione do centymetra.

Do oznaczenia każdego z tych trzech wymiarów potrzeba było geniuszu, a trzy wieki się składały, ażeby zebrać materyał, który umożliwił znowu geniuszowi danie odpowiedzi na pytanie, postawione na wstępie.

Pierwszą składową naszego wzoru, za pomocą którego obliczyć się da ciężar ziemi, to jest g znalazł, jak wspomnieliśmy wyżej Galileusz; co do drugiej składowej, to jest do k, a więc: co do wielkości siły ciągnienia kuli wodnej, mającej wielkość kuli ziemskiej, zabiegi sięgają jeszcze przeszłego stulecia.

Bongeur i Candamine zwrócili bowiem uwagę, że kulka zawieszona na nitce w pobliżu wielkiej skały, musi zboczyć z pionu, gdyż tak samo, jak ziemia ciągnie ją w dół, skała przyciąga ją w bok, skutkiem czego wahadło, nie wpadnie ani w kierunek siły ciążenia ziemi (pion), ani w kierunek siły przyciągania góry, lecz przybierze kierunek wypadkowy, zawiśnie więc ukośnie.

Z wielkości zboczenia zaś, możnaby obliczyć siłę, z którą skała wahadło przyciąga, gdyby znano objętość skały. Maskelyne przeprowadził w roku 1778 podobne pomiary w pobliżu szkockiej góry, zwanej Shehallien, pomiary te jednak nie mogły być dokładne, bo objętość góry szacowano tylko na oko, a co do masy jej przypuszczano, że góra składa się z kamienia, którego ciężar gatunkowy znano. Gdyby góra była z wody, i gdyby znano dokładnie jej objętość, natenczas pomiar Maskelyna, mógłby być dla osiągnięcia naszego celu wyzyskany, bo wiedzianoby, jaką część objętości ziemi stanowi góra, i z jaką siłą ta część ciała ku sobie przyciąga.

Objętość piramid egipskich, jako ciał geometrycznych, z wielką ścisłością wykonanych, daje się bardzo dokładnie obliczyć, a ponieważ wiemy, o ile metr sześcienny materyału, z którego zbudowano piramidy, więcej waży, aniżeli metr sześcienny wody, więc możnaby oznaczyć, ile razy piramida z wody, przyciąga ku sobie ciała silniej, jak piramida rzeczywista. Gdybyśmy więc z wahadłem ustawili się w pobliżu piramidy, moglibyśmy z wielkości zboczenia pionu, wnioskować o wielkości przyspieszenia spadu ciał na kulę wodną, mającą wielkość kuli ziemskiej.

Doświadczenie pouczyło jednak, że pion nie zbacza ku piramidzie, ale raczej od niej się odchyla, co sprawia, że sposób ten nie prowadzi do upragnionego celu. Z doświadczenia tego wysnuto jedynie ten wniosek, że piramidy zawierają w wnętrzu swojem próżnię, a obok nich, znajduje się pod ziemią wielkie bryły zbitych mas.

Chcąc dojść do celu, trzeba więc mierzyć przyciąganie brył, których znamy dokładnie nietylko objętość, ale i ciężar gatunkowy, bo tylko w takim razie wnioskować można z wymierzonego ich przyciągania o sile przyciągania kuli wodnej, równającej się wielkością kuli ziemskiej.

Profesor Jolly w Monachium zbudował w roku 1879 przyrząd, za pomocą którego udało mu się zmierzyć przyciąganie dwóch mas o znanej gęstości i objętości. Przyrząd jego jest to zwykła dwuramienna waga. Na jednem jej ramieniu wisi szalka, do której wkładać można ciężarki, na drugiem zaś zawiesił kilkanaście metrów długi, bardzo cienki (a więc mało ważący) lecz silny drut, u końca którego przytwierdził kulkę rtęci o znanej objętości. Na szalce zaś umieścił tyle ciężarków, ile równowaga wymagała. Drążek wysoko zawieszonej wagi stał więc poziomo, bo ziemia przyciągała tak silnie kulkę rtęci jak i ciężarki. W chwili zaś, gdy Jolly wsunął pod kulkę rtęciową, nie dotykając jej, wielką kulę ołowianą (której objętość naturalnie znał), przechyliło się ramię wagi, na którem zawieszono kulkę rtęciową. Przyciąganie się kulki rtęciowej i kuli ołowianej było więc widocznem, a ciężarki dołożone na szalkę były miarą jego wielkości.

Jolly znał więc masy przyciągających się wzajemnie kul i znał wielkość ich przyciągania, mógł przeto z obserwowanych dat obliczyć siłę przyciągania kuli wodnej, mającej wielkość kuli ziemskiej, czyli innemi słowy mógł oznaczyć wielkość owej liczby **K**.

Jolly znalazł, że

$$K = \frac{64}{1.000,000.000}$$

centymetrów, co znaczy, że ciała spadające na kulę z wody, mającą wielkość ziemi naszej, przyspieszają bieg swój co sekundę o tyle centymetrów, ile otrzymamy dzieląc 64 centm. na miliard części. Miliard znaczy tysiąc milionów, milion ma 6 zer, tysiąc ma 3 zera, więc miliard pisać można 10^9.

Wynik badań Jollego można więc napisać

$$K = \frac{64}{10^9}$$

Przyspieszenie spadu ciał na kulę z wody, mającej wielkość kuli ziemskiej, jest więc bardzo małe, daleko mniejsze od przyspieszenia ciał spadających na ziemię rzeczywistą. Podczas gdy ciała spadające ku ziemi przebiegają w pierwszej sekundzie drogę wynoszącą 5 metrów, potrzebuje ciało spadające na równie wielką kulę wodną do przebycia tej samej drogi, już nie jednej sekundy, ale czasu 6 godzin.

Tym sposobem znaleziono drugą składową owego wzoru, za pomocą którego, jak już wspomniano, obliczyć się daje ciężar ziemi. Do rozwiązania zadania pozostaje więc jeszcze oznaczenie trzeciej składowej wspomnianego wzoru, to jest oznaczenie promienia kuli ziemskiej.

W sposób w zdumienie wprowadzający oznaczył tą trzecią składową, wyłącznie tylko przez rozumowanie, a więc nie mierząc ziemi wcale, w r. 1875 pruski oficer Sedlmeyer.

Około słońca krążą w różnych odległościach, z różną szybkością planety. Szybkość ich obiegu nie jest jednak dowolną, lecz stoi w ścisłym związku z ich odległościami od słońca. Kepplerowi poszczęściło się odkryć w roku 1618 prawo ich obiegu. Znalazł bowiem na podstawie doskonałych obserwacyi astronoma Tycho-de-Brahe i mozolnych obliczeń, że stosunek, jaki zachodzi między czasami obiegu dwóch planet, podniesiony do kwadratu, zawsze daje tę samą liczbę, jaką otrzymamy, dzieląc przez siebie odległości od słońca tych samych planet, a podnosząc otrzymany iloraz do potęgi trzeciej. To samo prawo stosuje się nietylko do planet okrążających słońce, ale także do księżyców, które biegają w około planet. Prawo to stało się podstawą całej astronomii nowoczesnej i nie doznało od czasu odkrycia ani jednego wyjątku, pomimo, że tysiące sposobności było ku temu i co chwila sposobność taka się zdarza. Newton wykazał, że jest to prawo, które rządzi światami, jako też, że ono jest wynikiem jednej ogólnej siły w przestworze, wynikiem grawitacyi. I tą właśnie okolicznością tłumaczy się jego nieomylność.

Na tem to prawie oparł Sedlmayer swoje rozumowanie, które doprowadziło do obliczenia wielkości ziemi naszej. Przebieg kombinacyi Sedlmayera jest zaś następujący: Gdyby ziemia nasza, oprócz księżyca, który już posiada, miała drugi księżyc, któryby tuż nad jej powierzchnią, a więc w odległości promienia ziemi, w około niej krążył, w takim razie stosowaćby można prawo Kepplera do obiegu obydwóch tych księżyców, a więc obliczyć czas, jakiby urojony ten księżyc potrzebował, ażeby ziemię raz okrążyć. Ponieważ odległość rzeczywistego księżyca od środka ziemi i czas jego obiegu są znane, a odległość urojonego księżyca od centrum ziemi równa się jej promieniowi, więc stosunek obydwóch tych odległości, podniesiony do potęgi trzeciej, dałby liczbę zupełnie określoną. Liczba ta równaćby się musiała podług prawa Kepplera stosunkowi czasu obiegu urojonego księżyca, do znanego czasu rzeczywistego księżyca, skoroby go podniesiono do kwadratu. Rzecz więc widoczna, że szybkość, z którąby urojony księżyc ziemię obiegał, daje się obliczyć, a wynosi ona 5075 sekund, czyli godzinę, 24 minut i 35 sekund. Księżyc ten obiegałby więc ziemię w czasie niespełna półtorej godziny, podczas gdy rzeczywisty księżyc potrzebuje do przebycia swej drogi 2,360.591 sekund, czyli okrągło 29 dni. W porównaniu ze zwykłym księżycem, jest więc księżyc urojony idealnym kuryerem, co mu jednak łatwiej przychodzi, bo ma krótszą drogę do obiegu.

Przy tak szybkim obiegu wzbudza się wielka siła odśrodkowa, skutkiem czego powstaje dążność księżyca do oddalania się od środka ziemi. Dlaczegoż zatem księżyc nie poddaje się tej dążności i nie oddala się od ziemi? Oczywiście dlatego, że ziemia tak silnie go ku sobie pociąga, jak wielką jest jego dążność oddalania się od niej. Mamy więc fakt, że siła odśrodkowa równoważy siłę ciążenia.

Siłę odśrodkową można zaś znaleźć zupełnie niezawiśle od obiegu urojonego księżyca dokoła ziemi.

Hujgens, holenderski uczony, współczesny Newtonowi, uczył bowiem już w roku 1660, że siłę odśrodkową wynajdzie się dzieląc podwójną ludolfinę przez czas obiegu ciała dokoła jakiegoś centrum i mnożąc otrzymany iloraz, podniesiony od kwadratu, przez odległość obiegającego ciała od owego centrum, a więc przez promień koła.

Urojony księżyc obiega centrum ziemi w czasie 5075 sekund, a odległość jego od owego centrum równa się promieniowi ziemi. Do kwadratu podniesiony iloraz, podwójnej ludolfiny przez 5075, a pomnożony przez nieznany promień ziemi, daje nam więc siłę odśrodkową, a ponieważ ta, dla urojonego księżyca, równa się sile ciążenia ziemi, to jest wynosi jak na wstępie wykazano, niespełna 10 metrów, czyli 1000 cm., więc ze związku tego obliczyć się daje promień ziemi. Mamy bowiem równanie:

$$\left(\frac{2 \times 3{\cdot}14}{5075}\right)^2 . \, r = 1000$$

z którego wypada, $r = 64.10^7$ centymetrów, czyli 6400 km. (licząc dokładniej 6370 km.), co znaczy, że środek ziemi oddalonym jest od jej powierzchni okrągło o 6400 km.

W ten więc genialny sposób znalazł Sedlmeyer trzecią i ostatnią składową część wspomnianego na wstępie wzoru, za pomocą którego obliczyć się daje ciężar ziemi naszej.

Mamy więc:

$$g = 10^3$$
$$k = \frac{64}{10^9}$$
$$r = 64.10^7$$

centymetrów. Za pomocą tych wartości przekonujemy się z wzoru kilkakrotnie już wspomnianego, że ciężar ziemi naszej wynosi 64.10^{26} gramów, czyli:

$$64.10^{23}$$

kilogramów, a więc:

6 400 000 000 000 000 000 000 000

kilogramów, lub słowami przeszło 6 kwatryljonów kilogramów.

Gdyby bryłę ziemi, ważącą tyle kilogramów chciano usypać i rzucano co sekundę 100 kilogramów ziemi, to by sypać trzeba nie dzień, ani rok, ani wiek, ale 200.000 lat. Gdyby więc zaczęto sypać ziemię od chwili, w której podług starego testamentu świat stworzono, to by sypać jeszcze trzeba przez 1950 wieków, zanimby usypaną została bryła ziemska taka, jak ona jest w rzeczywistości.

Takich rozmiarów rozum ludzki pojąć nie zdoła, przed majestatem takiej wielkości korzyć tylko mu się wypada.

KRONIKA.

Lwów 19 lutego.

JE. p. Namiestnik Kazimierz hr. Badeni powrócił wczoraj z Krakowa do Lwowa.

Mianowania. P. Namiestnik zamianował praktykantów budownictwa Adama Mozdyniewicza w Stryju i Antoniego Gończarczyka w Nadwórnej adjunktami budownictwa w galicyjskiej państwowej służbie budowniczej.

Dyrekcya skarbu zamianowała dr. Zenona Henryka Pelczara lekarzem salinarnym w Drohobyczu i Stebniku.

Prezydyum krajowej Dyrekcyi skarbu zamianowało koncepistę skarbu dr. Leona Lesera, komisarzem skarbu, a praktykantów konceptowych: Włodzimierza Iłkowskiego i dr. Melitona Pieńczykowskiego koncepistami skarbu.

Przeniesienia. P. Namiestnik przeniósł lekarzy powiatowych: dr. Kazimierza Ciepielowskiego z Turki do Kolbuszowej, dr. Zenona Frydmana ze Lwowa do Gorlic, dr. Jakóba Dorożyńskiego z Borszczowa do Bóbrki, dr. Jana Filewicza z Kolbuszowej do Nowego Sącza i dr. Wincentego Głowińskiego z Bóbrki do Sokala, oraz asystentów sanitarnych: dr. Franciszka Stokłosińskiego ze Stanisławowa do Turki, dr. Henryka Nycza z Nowego Sącza do Drohobycza i dr. Wiktora Borysiewicza z Sokala do Borszczowa.

Wybór uzupełniający. Z Rzeszowa donoszą nam dnia 18 bm.: Przy dzisiejszym uzupełniającym wyborze posła do Rady państwa z kuryi większych posiadłości okręgu wyborczego Rzeszów-Kolbuszowa-Nisko-Łańcut-Tarnobrzeg-Ropczyce w miejsce Jana hr. Stadnickiego, powołanego do Izby panów, wybrany został jednogłośnie na 62 głosujących Andrzej hr. Potocki.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Tłumaczu rozpisała z terminem do 15 marca b. r. konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich. — Magistrat m. Stanisławowa ogłasza z terminem do 1 marca br. konkurs na posadę sekundaryusza w szpitalu powszechnym w Stanisławowie.

Wiadomości dyecezyalne. Gr.-kat. archidyecezya lwowska: Prezenty otrzymali księża: Cyryl Faciewicz z Dulib na Strzeliska i Jan Tymciurak z Pójła na Daszawę.

Walne zgromadzenie korpusu weteranów wojskowych we Lwowie odbędzie się w niedzielę dnia 24 b .m. o godzinie 2-giej po południu w sali ratuszowej.

Poświęcenie fabryki zapałek krakowskiej firmy „Szujski, Moraczewski i Spółka" odbyło się w sobotę dnia 16 b. m. w obec grona zaproszonych gości. Fabryka p. Szujskiego i sp., znajdująca się na gruntach gminy Krowodrzy, rozwinęła się w ostatnich czasach tak, że obrót roczny podniosła z 10.000 zł. 100.000 zł. Na wystawie naszej wyroby tej fabryki otrzymały medal srebrny.

Pomnik Mickiewicza. Podaliśmy wczoraj komunikat komitetu mickiewiczowskiego, świadczący, że komitet ten nie jest snać zupełnie zadowolniony z pracy p. Riegera. Dzisiaj powtórzyć nam wypada głos jednego z krakowskich korespondentów, jakkolwiek pragniemy przypuszczać, że głos ten jest może zbytnio rozżalony. Oto co wspomniany korespondent pisze:

Od wczoraj popołudnia mieszkańcy miasta spieszą gromadnie na Rynek, ażeby zobaczyć odsłonięty w całości pomnik Mickiewicza. Tyle lat o pomniku naród mówił, tyle lat go oczekiwał, marząc, że uczci nim godnie króla poezyi polskiej, nieśmiertelnego Adama. I doczekał się... tego, że z bólem i żalem, uczuciem przykrości odwraca się od poronionego dzieła. Co myśli o pomniku i mówi ogół, jakiem jest on dziełem sztuki, to streszczę w krótkości, w najłagodniejszej formie, po gruntownem zbadaniu i zasięgnięciu zdania niezawisłych znawców.

Przedewszystkiem przypatrzmy się głównej figurze — samemu wieszczowi. Bujnością kształtów i nieproporcyonalnością rozmiarów przygniata ona podstawę pomnika; gdyby trzon pomnika był trzy razy wyższy, to jeszcze figura w obecnych rozmiarach byłaby za kolosalna. Z tego powodu cały pomnik przygnieciony jest ku ziemi, nie strzela w górę. Spojrzeć warto od strony Sukiennic, jak fasada i wieże Maryackiego kościoła lekko unoszą się ku niebu, gdy pomnik zdaleka wygląda, jak czarny złom skalny.

Wieszcz ma na głowie wieniec, przypominający Indyanina; obecnie spiłowano nieco sterczące liście wieńca i jeszcze gorsze wywołało to następstwa. Mickiewicz owinięty jest w gruby płaszcz, udrapowany z trzech stron. Pod grubym płaszczem stoi mężczyzna niesłychanej tuszy; wypukły z przodu, jak aktor na scenie, poduszkami wyładowany. Robi wrażenie nie króla poezyi, ale właściciela browaru, lub rentującego się dobrze zakładu masarskiego; pierwszy raz w ten sposób pojęto i przedstawiono poetę. Lud krakowski twierdzi, że biedny Mickiewicz tak się opakował w parę surdutów i płaszcz zimowy, licząc na mroźny klimat krakowski. Nieszczęśliwy wreszcie pomysł wysunięcia podstawy poety po za szerokość trzonu pomnika, skraca jeszcze wysokość głównej figury i przyczynia się do jej nieszczęsnego pogrubienia.

Obejdźmy pomnik naokoło. Sylweta od strony kościoła św. Wojciecha jest najfatalniejszą. Nogi wieszcza zupełnie owinięte płaszczem, robią wrażenie człowieka, zabierającego się do wyścigu w workach. Ręka prawa Mickiewicza niesłychanie długa i gruba wychyla się tutaj i opiera na piersiach fałszywym ruchem. Stąd też widać masę fałdów na biodrach poety, przypominających wyszłe z mody olbrzymie tiurniury kobiece. *Czas* pisze, że z tej strony „razi figura brakiem piękna ogólnej linii ciała i draperyi, oraz prognatyzmem twarzy o czole zbyt ściętem. Nadto uderza nieproporcyonalność rąk i palców". Ja tę symfonię żałobną przełożyłem powyżej na zrozumiałe każdemu wyrazy.

Równie przykre wrażenie wywiera sylweta głównej figury z tyłu, gdzie widzimy pelerynę płaszcza, jakby z korka wyciętą; poniżej peleryny zwiesza się sztywny płaszcz aż do trzonu pomnika. Najznakomitszy rzeźbiarz musiałby zginąć wśród stworzenia sobie tak niewdzięcznego materyału. Tu wychodzi na jaw zasadniczy błąd; poprostu utknięto na fatalnym płaszczu i stworzono sobie z tego powodu niesłychane trudności, nie dające się poprostu zwyciężyć. Wiedziano o tem prawdopodobnie z góry, ale to przecież tak wygodnie obrzucić figurę z trzech stron płaszczem, bo nie trzeba się silić na pomysły artystycznej sylwety. Z lewej wreszcie strony widzimy od ramienia do stóp wieszcza trzy prostopadłe olbrzymie fałdy płaszcza. Wszystko jakby w drzewie siekierą wykute, bez żadnej subtelności w robocie, razi poprostu oczy.

Wiele już mówiono i pisano o głównej figurze. Wierzcie mi, że słowa za słabe są, by powtórzyć i opowiedzieć ujemne jej strony; trzeba trochę polskiego uczucia mieć w sercu, żeby się wstydzić poprostu parodyi Mickiewicza. Niepodzielnym jest głos, że główna figura musi być przemodelowaną. Ale dotąd naród nie widział grup, otaczających pomnik. Wczoraj i dzisiaj mógł im się dowoli napatrzeć i znów zaboleć, bo i tu zaszły fatalne błędy. *Czas* pisząc o tych grupach, mówi, że „zwłaszcza dwie są prześliczne", i te opisuje bliżej. Rzeczywiście piękne są grupy: „Naród" i „Poezya". Grupa „Naród" znajduje się na froncie pomnika; naród uosabia klasycznie pojęta kobieta, trzymająca tablicę z napisem: „On kochał naród". Poezya, zupełnie w innym już stylu wykonana, również z kolcami na głowie, przedstawia muzę, której śpiewu, czy deklamacyi słucha urocze dziewczę. Pomysł tej grupy należy się podobno Matejce.

Ale po za temi grupami są jeszcze grupy: „Patryotyzm" i „Oświata". Patryotyzm wyobraża nagi anemiczny młodzieniec, z zarzuconym na ramiona płaszczem, w sandałach, trzymający w ręku krótki miecz. Przypomina nieszczęsnego niewolnika, zadumanego i wpatrującego się w krótki mieczyk. Pierwszy raz spotkać można podobne uosobienie patryotyzmu i rycerskości narodu, młodzieniec ten mógłby być raczej uosobieniem słabości upadku i zwątpienia.

Niemniej przykre wrażenie budzi grupa „Oświata". Siedzi, ledwie osłoniony płaszczem, nagi starzec, zdaje się ślepy, z wystającemi kośćmi policzkowemi, o kwadratowej twarzy, wychudły, z najskrajniejszym realizmem traktowany. To ma być uosobienie oświaty — chyba galicyjskiej z przed lat trzydziestu. Obok niego neurasteniczny chłopak, z fatalnie ustawioną lewą nogą, jakby kaleka kulawy. Grupa ta odpycha od siebie, razi widza, tem więcej, że żadna z grup nie jest dostrojona jedna do drugiej; tworzą one nieharmonijny zlepek, nie mówiąc już o tem, że dwie z nich nie uosabiają właściwie żadnej myśli i są jakby przypadkowo rzuconemi.

Taką jest całość pomnika — wywołującego żal, że tyle czasu i pieniędzy poszło na niego. Jakiemi epitetami naród ciska, nie chcę powtarzać. Takiego pomnika nie można przecież oddać Polsce. Odpowiedzialnym nie można robić wyłącznie rzeźbiarza, a wina spada na komitet. Dziś od południa zaczęto rozbierać rusztowanie pomnika: wskazywałoby to, że pomnik takim już jak jest, pozostanie. Gdyby tak być miało to trzeba osobną tablicę powiesić u stóp pomnika obejmującą nazwiska twórcy i członków komisyi, która nad wykonaniem czuwała — ku wiecznej pamięci, raczej hańbie! Niechaj jednostki winne ponoszą odpowiedzialność, przynajmniej moralną!

Na zakończenie drobny charakterystyczny dodatek. U wierzchu trzona położono napis:

IAIOICZYZNATOIEDNO...

Bawi się Kraków szczególnem zestawieniem pierwszych liter. Napis jest tak zbity, litera obok litery, dla braku miejsca.

„Lutnia" lwowska na ostatniem swojem walnem zgromadzeniu mianowała członkami honorowymi: dra Aleksandra Tchórznickiego, prezydenta wyższego sądu krajowego i prezesa Związku towarzystw śpiewackich i muzycznych we Lwowie, oraz Piotra Maszyńskiego, założyciela i pełnego zasług dyrektora „Lutni" w Warszawie.

Do naszego salonu sztuk pięknych obok świeżo wystawionych bardzo interesujących obrazów Jacka Malczewskiego „Kolędnicy" i Hirschenberga „Konferencyjka" nadesłał artysta Jaroszyński najnowszy większych rozmiarów obraz, przedstawiający „Scenę rodzajową z huculszczyzny". Obraz ten zgłoszony na wystawę sztuki w Wiedniu pozostanie u nas tylko do przyszłego tygodnia. Nadto wystawiono najnowsze prace: Batowskiego „Portret panny L. Chamcówney," pośmiertny „Portret panny Bleim" i „Krajobraz," Damazego Kotowskiego „Typ chłopski," Weina „Studyum," wreszcie panny Otylii Kraszewskiej „Madonnę z Dzieciątkiem Jezus" z oryginału Francesca Vecelli, brata Tycyana.

Oryginalna deputacya. Pod wodzą antysemickiego posła wiedeńskiego dra Geismanna, którego

Galicya tyle obchodzi, co nas zeszłoroczny śnieg, odbywała temi dniami deputacya włościan z powiatów bialskiego, wadowickiego i wielickiego pielgrzymkę po biurach ministeryalnych w Wiedniu, występując w obronie ks. Stojałowskiego i prosząc między innemi o wypłacenie mu dochodów, jakie parafia kulikowska przynosiła podczas jego suspensyi, o nieprzeszkadzanie mu w urządzaniu wieców chłopskich, i t. p. Z ciceronem swym, z którym niewiadomo w jakim języku się porozumiewali, obeszli włościanie galicyjscy kolejno biura ministerstwa oświaty, sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, a na końcu byli u prezesa gabinetu ks. Windischgraetza.

Samobójstwa. W hotelu Gutmanna przy ulicy Furmańskiej otruł się wczoraj Kazimierz Michałowski, gefreiter 24 pułku piechoty, który przed kilku dniami sprzeniewierzył z menaży oficerskiej swego pułku kwotę 50 zł. i ukradł 7 łyżeczek srebrnych, a następnie umknął. Samobójcę w stanie beznadziejnym odwieziono do szpitala.

W Rzeszowie poderżnął sobie gardło dyetaryusz dyrekcyi skarbowej Tadeusz Olszewski. Rana nie jest śmiertelna.

Świętokradztwo. W Oświęcimiu schwytano dwóch złodziejów, Prusaków, Ryszarda Niemczyka i Karola Schweinocha, którzy dnia 4 b. m. w nocy okradli tam czytelnię, synagogę, a wreszcie popełnili świętokradzki rabunek w kościele, zabierając kielichy mszalne, które zakopali w piasku nad rzeką Sołą.

Transport bydła opasowego do Wiednia. Zapewne z najwyższą radością przyjmą nasi hodowcy wiadomość, że już niebawem zaprowadzone zostaną pospieszne pociągi dla przewozu bydła opasowego z Galicyi i Bukowiny do Wiednia i na Zachód. Skrócą one czas transportu o 24 godzin, przez co ubytek na wadze będzie mniejszy, a co najważniejsze, bydło nasze przybywszy na targowicę St. Marx w Wiedniu będzie lepiej wyglądało i niezawodnie uzyska lepsze ceny. Nadto odpadnie potrzeba karmienia i wyładowywania bydła w Oświęcimiu. Dla naszych rolników-hodowców ma ta innowacya niesłychaną wartość, to też szczerą wdzięczność winni oni wszystkim, którzy do jej wprowadzenia się przyczynili: w pierwszym rzędzie drowi Bilińskiemu. Te ułatwienia transportowe pchnąć mogą nasz handel bydła na zupełnie nowe tory, to też galicyjskie akcyjne towarzystwo handlowe zamierza ująć go w swe ręce i zorganizować na trwałych podstawach.

Szajkę niebezpiecznych oszustów schwytano we Lwowie i osadzono w więzieniu. Oszuści ci od dawna już operowali we Lwowie, a dopiero w tych dniach policya wpadła na ich trop. Do szajki tej należą Adolf Flitter, żona jego Małka, Wilhelm Helman, Hersz Brand i uczeń 8 klasy w gimnazyum złoczowskiem Abraham Spiegel. Oszuści ci, wystawiali skrypty dłużne kładąc na nich fałszywe podpisy wysokich oficerów; skrypty te sprzedawali rozmaitym spekulantom. Oszustów wykryto w następujący sposób: Flitter podrobiwszy około 300 skryptów opatrzonych bardzo dobrymi podpisami, a opiewających na ogólną gwotę 70.000 złr., sprzedał takowe Leizerowi Gerstenfeldowi. Jakiś czas następnie Flitter spłacał regularnie raty tak, że zwrócił nawet Gerstenfeldowi 30.000 złr. gdy atoli reszty nie spłacał, Gerstenfeld zwrócił się wprost do podpisanych na skrypcie, upominając się o resztę zaległości. Ku swemu przerażeniu dowiedział się wówczas, że padł ofiarą oszustwa, a gdy stało się to głośnem w tutejszych kołach „finansistów,“ zgłosiło się prócz Gerstenfelda jeszcze kilku innych posiadaczy podobnych skryptów, a między nimi Chaim Drexler, kupiec lwowski z placu Smolki l. 1, posiadający skrypt kupiony od Flittera, a opiewający na 5000 złr. Przy odbytej u Flittera rewizyi, nie znaleziono u niego żadnej gotówki, tylko notes z dokładnymi „zapiskami handlowymi“. Przyaresztowany Flitter przyznał się otwarcie do czynu i wydał wszystkich współwinnych, których też natychmiast przyaresztowano.

Intronizacya księcia biskupa Puzyny w Krakowie. Uzupełniając wczorajszą naszą notatkę, podajemy dziś bliższe szczegóły o tej pięknej uroczystości. Już przed godziną 8 rano poczęły się gromadzić na Wawelu liczne tłumy publiczności, wśród których straże honorowe z trudnością tylko utrzymywały porządek. Równocześnie napływało duchowieństwo tak świeckie jak i klasztorne, przybyli książęta Kościoła i reprezentanci władz rządowych, wojskowych i autonomicznych, którzy zajęli miejsca w presbiteryum. O godzinie 9 rano potężne dźwięki „Zygmunta“ obwieściły przybycie nowego Arcypasterza. Ks. Puzyna, wysiadłszy z powozu, powitał zebranych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“; w tej chwili chór alumnów zanucił hymn do św. Stanisława. Wśród spiewu chóru, z którym łączyły się majestatyczne tony królewskiego dzwonu, udał się ks. biskup do katedry, poprzedzony duchowieństwem i kapitułą. U głównych wrót świątyni zatrzymał się książę biskup i tu prepozyt kapituły ks. Matzke podał mu pacyfikał do pocałowania i kropidło ze święconą wodą, a następnie wręczył mu na tacy klucze od katedry i wprowadził go procesyonalnie do kościoła. Ks. biskup udał się przedewszystkiem do kaplicy Najświętszego Sakramentu, celem dopełnienia adoracyi, poczem pomodlił się u trumny św. Stanisława, a następnie przybył przed wielki ołtarz.

Kiedy ubrawszy się w strój pontyfikalny ks. Puzyna zasiadł na tronie biskupów krakowskich, kanclerz konsystorski ks. prałat Nowak odczytał po polsku i łacinie *Breve* Ojca św., mianujące ks. Puzynę biskupem krakowskim.

Gdy ks. Nowak odczytał *Breve* papieskie stanął przed ks. biskupem wikaryusz jeneralny kapituły ks. infułat Gawroński i powitał pasterza dyecezyi imieniem duchowieństwa i wiernych. Ks. Puzyna w serdecznych słowach odpowiedział na to powitanie poczem przy śpiewie hymnu *Te Deum laudamus* duchowieństwo zebrane w kościele złożyło tak zwaną obedyencyę, czyli *homagium* swemu pasterzowi, polegającą na ucałowaniu ręki.

Po *homagium* rozpoczęła się msza św., którą przy licznej asystencyi odprawił ks. biskup Puzyna, ubrany w pamiątkowy ornat, darowany katedrze Wawelskiej przez Stefana Batorego. Po ewanielii ks. prałat Nowak odczytał list pasterski wystosowany przez ks. biskupa do wiernych dyecezyi krakowskiej, poczem z tronu przemówił do zebranych w kościele ks. Puzyna. Podziękował za serdeczne przyjęcie, jakie mu w Krakowie zgotowano, a w końcu swego przemówienia polecił w pamięci i opiece rodaków katedrę wawelską, tak świętą dla narodu, w której koronowali się jego królowie i pod którą prochy ich spoczywają.

Po nabożeństwie udzielił ks. biskup zebranym apostolskiego błogosławieństwa z odpustem zupełnym, a odpowiednie *Breve* papieskie odczytał z ambony ks. dr. Bandurski.

Na tem skończyła się uroczystość, poczem, pontyfikalnie przybrany, poprzedzony kapitułą i asystą, udał się książę-biskup do skarbca, gdzie go oczekiwała Rada miejska, w imieniu której złożył mu hołd p. prezydent Friedlein. Z katedry, procesyonalnie odprowadzony, odjechał ks. biskup do seminaryum dyecezyalnego.

O godzinie 1, jak to już wczoraj donieśliśmy, odbył się obiad, na 140 nakryć. Pierwszy toast wzniósł książę biskup na cześć Ojca św. i Cesarza, drugi toast na cześć ministra oświaty dra Madeyskiego i namiestnika hr. Badeniego. Następnie minister Madeyski pił zdrowie księcia-biskupa Puzyny; prezes Akademii hr. Stanisław Tarnowski wzniósł toast na cześć arcybiskupów i biskupów naszego kraju, infułatów, prałatów, kapituł a w szczególności krakowskiej, jako i całego duchowieństwa. Ks. arcybiskup Morawski w imieniu dyecezyi, którą opuścił ks. biskup Puzyna, pił na pomyślność dyecezyi krakowskiej. Prof. Tadeusz Pilat wzniósł toast na pomyślność Krakowa i jego reprezentacyi, na który odpowiedział prez. Friedlein, kończąc życzeniem, aby książę-biskup Puzyna długie lata żył i działał Bogu na chwałę, a nam na pożytek.

Wieczorem zajaśniało miasto całe wspaniałą iluminacyą. Była ona wynikiem uczuć krakowskiego obywatelstwa, własnowolnym wyrazem hołdu i radości dla nowego księcia-biskupa. Wszystkie okna w śródmieściu i na przedmieściach, zarówno gmachy miejskie, jak mieszkania prywatne nawet ludzi najuboższych, były oświetlone. Zaznaczyć należy, iż także na Kazimierzu domy były gęsto oświetlone. O godzinie pół do 8-mej wieczór wyruszył z zabudowania księży Franciszkanów, obok magistratu, korowód z blisko dwustu pochodniami, urządzony przez członków stowarzyszenia katolickiej młodzieży rękodzielniczej „Praca“. Korowód, poprzedzony przez „Harmonię“, grającą melodye narodowe, udał się przed pałac biskupi. Tu podążyła na górę deputacya „Pracy“ i „Harmonii“, pierwsza złożona z prezesa ks. Tomasza Bukowskiego, ks. Teofila Flisa, seniora p. Lachowskiego, wiceseniora p. Nittonia, druga złożona z prezesa prof. H. Jordana, pp. Staszczyka i Ludwińskiego; obie deputacye złożyły księciu biskupowi wyraz hołdu. Serdecznie za ten objaw podziękował książę-biskup i przyjął protektorat „Harmonii“. Tymczasem na dole spalono ognie rzymskie, wspaniale oświetlające fasadę pałacu, a kilkotysięczny zastęp publiczności wznosił okrzyki na cześć księcia-biskupa.

Mordercę sadownika, Jana Gruszyńskiego, którego przed kilku dniami znaleziono dogorywającego w piwnicy przy ulicy Ormiańskiej, uwięziono w Siechowie. Jest nim 38-letni szwagier zamordowanego Szymon Torosiewicz. Znaleziono u niego czapkę skrwawioną i kwotę 36 zł., z której posiadania nie może się wytłumaczyć.

Mową operę Mascagniego „Wilhelma Ratcliffa“ przedstawiono po raz pierwszy w sobotę w medyolańskim teatrze „Della Scala“. „Ratcliff“ w pewnej cząstce jest pierwszem dziełem Mascagniego, gdyż niektóre sceny z niego napisał on przed 14 i 13 laty. Było to w czasie wędrówek jego w roli dyrektora operetkowego. Jednak praca zaczęta długi czas spoczywała, aż dopiero świetne powodzenie „Cavallerii rusticany“ wydobyło ją znowu na wierzch i Mascagni już jako sławny kompozytor wykończył swą młodzieńczą operę. Libretto wzięte jest ze znanego romantycznego dramatu Heinego. Treść jest taka: Do zamku bogatego rycerza Mac Gregora przybywa narzeczony jego córki Maryi, Douglas. Opowiada on, że w lesie napadli go rozbójnicy, ale zjawienie się jakiegoś nieznajomego uratowało mu życie. Podczas tego opowiadania mdleje Marya, a ojciec wyjaśnia Douglasowi, zkąd to jej przerażenie. Oto raz w zamku ich nocował tajemniczy jakiś człowiek Wilhelm Ratcliff, zakochał się w Maryi, ale odtrącony zaprzysiągł, że nikt jej nie dostanie. Odtąd dwóch już narzeczonych córki Mac Gregora zginęło z jego ręki. Douglas, pod wpływem tego opowiadania, postanawia się zmierzyć z Ratcliffem w równej walce.

W akcie drugim znajdujemy się w oberży opryszków. Ratcliff opowiada swemu przyjacielowi Lesleyowi o swej miłości dla Maryi i o straszydłach, które go prześladują od czasu zabicia dwóch jej narzeczonych.

Akt trzeci w gęstwinie lasu; schodzą się Douglas i Ratcliff. Pierwszy w przeciwniku poznaje swego zbawcę z rąk zbójeckich. Ratcliffowi ukazują się w tej chwili duchy zamordowanych i zdjęty strachem pada na ziemię. Ale Douglas darowuje życie swemu wybawcy i odchodzi. Akt czwarty przynosi rozwiązanie akcyi na sposób dramatu Heinego.

Teatr naturalnie był przepełniony. Pojawienie się Mascagniego przed pulpitem kapelmistrza powitano oklaskami umiarkowanymi jak również uwerturę. Podobnież chłodnawe przyjęcie spotkało akt cały chociaż w orkiestracyi znać widoczny nowy postęp w porównaniu z poprzedniemi dziełami Mascagniego.

Dopiero w akcie drugim scena między oberżystą a synkiem przeplatana słowami „Ojczenasza“ rozgrzała publiczność, podobnie jak opowiadanie Ratcliffa (tenor Denegli). Natomiast scena z ukazaniem widma zawiodła zupełnie. Akt trzeci jest wyborny, to też wprawił publiczność w zachwyt. Intermezzo grane, kiedy Ratcliff omdlały leży na ziemi, musiano powtórzyć. Akt czwarty dopełnił powodzenia. Mascagniego wywoływano nieskończoną ilość razy. A więc sztuka przemogła niedowierzanie publiczności, porwała ją za sobą, Mascagniego opromieniła nową sławą.

Swoją drogą nakładca Mascagniego i właściciel teatru Sonzogno urządził „Ratcliffowi“ niebywałą reklamę. Sonzogno posłał do wszystkich wielkich dzienników we Włoszech, Niemczech, Anglii i Francyi bilety do teatru i bezpłatne bilety kolejowe na jazdę do Medyolanu i z powrotem. Koszt tej reklamy wynosi przeszło 100.000 franków, lecz Sonzogno ma nadzieję, że opera w ten sposób rozreklamowana i przedstawiona z opłat za pozwolenie na jej przedstawienie przyniesie mu tyle pieniędzy, iż znaczny wydatek na reklamę sowicie się mu opłaci.

Nabożeństwo dziękczynne urządza Towarzystwo strzeleckie we czwartek o godzinie 10-tej rano w kościele OO. Bernardynów we Lwowie celem uczczenia dwuwiekowej rocznicy bohaterskiej obrony Lwowa przez mieszczan i konfraternię strzelecką z pomocą wojska rzeczypospolitej pod wodzą hetmana koronnego Stanisława Jabłonowskiego przeciw nawałowi ordy tatarskiej w roku 1695. Wieczorem o godzinie 7mej we czwartek odbędzie się w sali ratuszowej z okazyi tej rocznicy odczyt p. Aleksandra Czołowskiego.

Walne zgromadzenie galic. Towarzystwa gospodarskiego odbędzie się we Lwowie w dniach 4 i 5 marca.

Odznaczenie. Zarządzca kasy w Krynicy Wojciech Chojnik otrzymał złoty krzyż zasługi z koroną.

Wojskowe wyścigi na nartach czyli tak nazywanych obecnie z norwegska „ski“, odbyły się w Krakowie w sobotę po południu. Na niezwykłe to widowisko pospieszyło ku torowi wyścigowemu niemniej publiczności jak na zwykłe wyścigi konne. Na błoniach miejskich, które wybrano jako teren wyścigowy, z uderzeniem godziny 2 od zachodniej strony wsi Zwierzyńca ustawiły się oddziały wojskowe wszystkich czterech krakowskich pułków piechoty, biorące udział w produkcyach i wyścigach. Tu ustawione były cztery duże namioty polowe, przeznaczone przez zarząd wojskowy na ogrzewalnie i miejsca odpoczynku dla zaproszonych pań, oraz starszyzny wojskowej. W pośrodku pomiędzy namiotami muzyka 100 pułku piechoty przygrywała popisom. Wyścigów, w których brali udział wyłącznie oficerowie i żołnierze piechoty, bez względu na stopień wojskowy, było ogółem pięć.

Pierwszym był wyścig płaski na przestrzeni 4.000 kroków. Startowało w nim po 2 ludzi z każdego batalionu, razem 26 żołnierzy, odznaczonych kolorowemi szarfami; nagrody wynosiły od 2 dukatów w złocie do 1 korony. Bieg ten był zajmującym jako próba popisu w szybkiej jeździe łyżwowej na równym terenie i mimo, że ogromne śniegi, które ostatnimi dniami spadły, przy braku dostatecznego mrozu utrudniały tak dalece bieg, iż wyścigowcy zamiast ślizgać się po powierzchni, jak w piasku brodzić musieli, dał sposobność poznać, że nowy sport, uprawiany z zamiłowaniem, znajduje wyćwiczonych zwolenników w pułkach austryackich.

Niemniej zajmujące były popisy w jeździe górskiej, w której „ski“ znajdują właściwe zastosowanie. Siła fizyczna, zręczność i umiejętność utrzymania równowagi w pełnym biegu, nadają w tym rodzaju wyścigów pełne do popisu pole. Jedni z żołnierzy utrzymują w pełnej jeździe równowagę stojąc, inni przysiadając (oba rodzaje jazdy są dozwolone), w miarę chęci przyspieszenia, lub osłabienia rozpędu. Nie brakło oczywiście zarówno w tym biegu jak poprzednim i wszystkich następnych licznych upadków mniej lub więcej estetycznych, które jednak nie pociągnęły za sobą szkodliwych skutków.

Z całego popisu najbardziej zajmujące były biegi wśród walki. W tem ćwiczeniu brali udział dobrze wyćwiczeni już żołnierze, gdyż bieg ten wymaga już nie tylko pewności w nogach i w utrzymaniu się na łyżwach, ale także skoncentrowanej uwagi na operacye wojskowe. Walka odbyła się w ten sposób, że dwa oddziały żołnierzy obrały pozycyę w zasiekach śniegowych na równinie i na wzgórzu. Atakujący zaś oddział zbliżał się od szczytu Sikornika po całej pochyłości góry. Ponieważ przestrzeń od reglów góry aż do równiny jest wielką, przeto potrzeba było przeszło kwadrans czasu, zanim atakujące oddziały łyżwiarzy zbliżyły się na odległość strzału.

Z pojawieniem się pierwszych żołnierzy, nadjeżdżających na łyżwach z karabinem w ręku, rozpoczęto z obu zasieków silne ostrzeliwanie, które tem bardziej było zajmujące, że strzelających widać nie było z poza wałów śniegowych i tylko dym zdradzał ich obecność. Po krótkiej szarży na dany przez pułkownika Heimrotha znak, oddział ukryty w zasieku dał się pobić, poczem zdobywcy z okrzykiem hurra! zajęli atakowaną pozycyę, zostawiając gęsto maruderów na placu boju.

Wreszcie ujrzano rzecz całkiem nową a niezwyczajną, pomysł jednego z poruczników Polaków. Jest to patrol wojskowy w pełnym rynsztunku na nartach. Komendant siedzi na koniu a żołnierze w bardzo prosty sposób przytroczeni są jeden za drugim do tego konia. Pozwala to bez żadnego zmęczenia odbywać dalekie marsze na równi z kawaleryą, używając do tego jednego konia.

Wyścigi o nagrodę w jeździe górskiej zakończyły o godz. 5 po południu bardzo zajmujące popisy tego nowego sportu, który obowiązkowo wprowadzony do regulaminu ćwiczeń piechoty, może znaleść ważne zastosowanie w operacyach wojenych.

Nagrodzone bohaterstwo. W dziennikach niemieckich znajdujemy następujące śliczne opowiadania z nad brzegów szlezwicko-holsztyńskich. Niedawno w pewnej nadbrzeżnej wiosce rybackiej rozległ się strzał moździerzowy. Było to hasło, wzywające ludność rybacką nad brzeg morza na ratunek. Pomimo mroźnego bardzo i burzliwego ranka, ruszono z pospiechem. O ćwierć mili od brzegu ujrzano statek kupiecki, osiadły na mieliźnie i widocznie bardzo już wskutek burzy uszkodzony. Załoga statku wobec zalewających pokład fal morskich, wdrapała się na maszty i stamtąd wyglądała ratunku. Poczęto spuszczać czółno ratunkowe, lecz wówczas dopiero spostrzeżono, iż wśród obecnych nie ma dzielnego Harro, słynnego przewodnika takich spraw ratunkowych, udał się bowiem o świcie do sąsiedniej wioski. Nie można było czekać na jego powrót. Ośmiu ludzi zajęło więc czółno i w strasznych wysiłkach, wskutek szalejącej burzy, dotarło do statku, przyjmując rozbitków. Jeden atoli pozostał na statku. Uczepiony u najwyższego masztu, oplątany linami, a widocznie zesztywniały ze zimna, nie mógł się ruszyć, gdy inni się ratowali. Czółno było już i tak przeładowane, burza wzmagała się, szło już teraz o życie wszystkich, więc odbito od statku. Dostawszy się do brzegu, rybacy zastali tam już dzielnego Harro, który właśnie powrócił i oznajmili mu o pozostawionym na maszcie rozbitku. — „Jadę po niego! — zawołał Harro — będziecie mi towarzyszyli?“ — Nastało milczenie. Rybacy pomęczeni, uznali nowy wysiłek za niemożliwy. — „Jadę sam!“ — zawołał Harro, wskakując w czółno. W tej chwili zjawia się na wybrzeżu jego stara matka. „Nie jedź! — prosi syna — pomnij na ojca, który tam został na zawsze... pomnij na brata Uwe“ — i szlocha. (Uwe był najmłodszym synem i od lat paru słuch o nim zaginął). „Nie mogę! nie mogę!“ — odpowiada Harro. — Matka prosi jeszcze; „Nie jedź przez litość nad matką, nie jedź!“ — „A czy jesteś pewna, że ten tam także nie ma matki?“ — odparł Harro, wskazując na szarzejące maszty rozbitego statku. Wówczas staruszka zamilkła i czterech ludzi poszło za przykładem bohatera. Statek stał już całkiem pod wodą i trudno im było dostać się do niego. Nareszcie sam Harro wspina się po maszcie i znosi omdlałego rozbitka, składając go na dnie czółna. Gdy z powrotem czółno zbliżyło się o tyle do brzegu, że pomimo huku fal, gromki głos Harra mógł być dosłyszanym, zawołał on: „Powiedźcie tam matce, iż jej przywożę zaginionego Uwe!“...

Stan powietrza. T. o 8 rano —12 R. w poł. — 9 R. Bar. 767. Idzie w górę. Pogoda prześliczna.

W kantorze bankierskim.

— Przygotowałem panu niespodziankę. Przyjmuję pana za mego wspólnika: otrzymywać pan będziesz połowę mojego czystego zysku.

— Bardzo dziękuję panu pryncypałowi, ale, jeżeli to panu wszystko jedno, wolałbym trzecią część zysku, ale... nieczystego.

Z aforyzmów.

Największą obawą słabego jest obawa być wziętym za słabego.

Najsilniejszą nawet zimę wiosna zmoże.

Mędrzec myśli, głupi zamyśla się.

Wymownym nazywają człowieka, który wie, kiedy przestać mówić.

Teatr. Dziś we wtorek „Szkoła kobiet“, komedya w 5 aktach wierszem Moliera, przełożył Kazimierz Zalewski. We środę „Madame Sans-Gêne“, komedya w 4 aktach Wiktoryna Sardou i E. Moreau. We czwartek „Manon Lescaut“, opera w 4 aktach Puccin'iego.

Telegramy „Przeglądu“

Wiedeń 19 lutego. Wiadomość o śmierci arcyksięcia Albrechta rozeszła się po mieście z błyskawiczną szybkością. Począwszy od w pół do 3-ciej po południu mnóstwo osób cisnęło się do pałacu zmarłego i wpisywało swe nazwiska na wyłożonych arkuszach. Dzienniki wydały nadzwyczajne dodatki w czarnej obwódce, poświęcając pamięci zmarłego artykuły gorące i pełne współczucia. *Wiener Zeitung* pisze, że w historyi złotemi głoskami zapisane zostaną zasługi, jakie zmarły oddał Monarsze, armii i narodowi. Jako wielki syn wielkiego ojca i spadkobierca pełnych chwały tradycyi, nie znał ten dostojny bohater żadnego wyższego celu nad zadowolnienie Monarchy, rozwój dzielnej armii i spokój i wielkość Austryi. Imię jego żyć będzie w historyi, a pamięć jego będzie zawsze błogosławiona.

Wiedeń 20 lutego. O ostatnich chwilach arcyksięcia donoszą do dzienników tutejszych co następuje: Chory spożył wczoraj rano śniadanie, składające się z dwóch jaj, poczem rozmawiał z byłym adjutantem swoim hr. Chotekiem i rzekł: „No zdaje mi się, że najgorszy okres już minął“. (Nun waere das Schlimmste überstanden). Kazał także arcyksiążę telegraficznie podziękować Papieżowi za przesłane mu błogosławieństwo i rozmawiał z członkami rodziny. Około godziny 10-tej popadł chory w stan apatyczny i skonał lekko o ¼2 po południu. Na kilka minut przed zgonem ocknął się chory z odrętwienia, poznał dwóch najmłodszych wnuków stojących przy łóżku, ledwie dosłyszalnym głosem szepnął do nich słów kilka i zażądał szklanki wody. W chwilę potem już nie żył.

Dyspozycye co do pogrzebu wydane zostaną dopiero po przybyciu Cesarza, który tu wraca dziś wieczorem. — Przygotowania do pogrzebu zajmą zapewne więcej niż tydzień, gdyż wszystkie garnizony wysyłają deputacye.

Peszt 19 lutego. Wszystkie dzienniki tutejsze wydały nadzwyczajne dodatki w czarnej obwódce z wiadomością o śmierci arcyksięcia i wyrażają głęboką żałobę narodu węgierskiego z powodu śmierci tego męża, sławią jego cnoty i podnoszą jak niepowetowaną stratę ponosi dom cesarski i armia austro-węgierska. Prezes gabinetu Banffy przesłał Cesarzowi bardzo ciepły telegram kondolencyjny.

Berlin 19 lutego. Wczorajsze dzienniki wieczorne poświęciły serdeczne nekrologi pamięci zmarłego arcyksięcia. *Post* sławi w nim wielkiego wodza, *Kreuzzeitung* i *Vossische Zeitung* podnoszą jego zasługi około armii, jego dobroczynność i nazywają go serdecznym przyjacielem sojuszu austryacko-niemieckiego.

Wiedeń 19 lutego. Uwolniony przez sąd przysięgłych od zarzutu zbrodni sprzeniewierzenia b. konsul jeneralny w Chicago Palitschek, został w drodze dyscyplinarnej oddalony ze służby państwowej i pozbawiony prawa używania tytułu konsula.

Mentona 19 lutego. Cesarz odjechał stąd wczoraj o godzinie ¼ na 4 po południu przez Ventimiglię, a do Wiednia przybędzie dziś o 11 w nocy.

Wiedeń 19 lutego. Ze wszystkich miast prowincyonalnych donoszą o głębokiem wrażeniu, jakie tam wywarła wiadomość o śmierci arcyksięcia Albrechta.

Arco 19 lutego. Całe miasteczko przybrało szatę żałobną. Z okien i balkonów powiewają czarne flagi. Zwłoki arcyksięcia zostaną jutro zabalsamowane, do Wiednia zaś przewiezione zostaną nie prędzej jak za ośm dni.

Rzym 19 lutego. Crispi złożył ambasadorowi austryackiemu kondolencyę z powodu śmierci arcyksięcia Albrechta.

Minister wojny przesłał telegraficznie imieniem armii włoskiej kondolencyę austryackiemu ministrowi wojny.

Koncert, który miał się wczoraj odbyć w Kwirynale, odwołano, równie jak i dzisiejsze przyjęcie w ambasadzie niemieckiej.

Wszystkie pisma poświęcają arcyksięciu długie artykuły, ubolewają nad jego śmiercią i podnoszą jego wielkie przymioty ducha.

Wiedeń 19 lutego. W procesie Schapiry wszyscy oskarżeni wypierają się winy. Dziś rozpocznie się przesłuchanie świadków.

Wiedeń 19 lutego. Ze stolic wszystkich prowincyi austryackich nadchodzą jednobrzmiące objawy żalu z powodu śmierci arcyksięcia Albrechta. Zgromadzona dziś Rada Państwa wysłuchawszy stojąc wspomnienia wypowiedzianego przez prezydenta Chlumeckiego i upoważniwszy go do złożenia Cesarzowi wyrazów głębokiego żalu, zamknęła swe posiedzenie na znak żałoby.

Peszt 19 lutego. Po mowie prezydenta Szilagyiego i upoważnieniu go do złożenia królowi wyrazów żalu, zamknął się sejm na znak żałoby.

Wiedeń 19 lutego. Także dziś wszystkie tutejsze i peszteńskie dzienniki, z których niektóre i dziś wyszły w czarnej obwódce, poświęcają bardzo sympatyczne artykuły pamięci zmarłego arcyksięcia. Na wielu budynkach wywieszono flagi żałobne.

Arco 19 lutego. Pomiędzy pierwszemi kondolencyami, jakie tu nadeszły, była depesza rosyjskiego pułku, noszącego nazwę zmarłego arcyksięcia. Zarazem zawiadamia ten pułk, że wysyła na pogrzeb deputacyę z pułkownikiem na czele. Zwłoki zabalsamuje profesor Weichselbaum z Wiednia. Prawdopodobnie przewiezione zostaną zwłoki do Wiednia we czwartek wieczorem osobnym pociągiem, którym pojadą także członkowie dworu.

Arcyksiężna Elżbieta udaje się jutro do Gries, gdyż ma lekką anginę.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 18 lutego. W. hr. Komorowska z Rosyi. N. Stehel z Rosyi. J. K. br. Hohendorff z Szutrominiec. P. Pawlikowska z Siedlisk. K. Gołębski z Sławentyna. A. ks. Widajewicz z Bolechowa. S. Lilienthal z Stanisławowa. L. Münz z Wiednia. B. Wermer z Wiednia. A. Stolzer z Agramu. S. Weniger z Berlina. G. Alszer z Koszyc.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 18 lutego. A. Ossoliński z Czartkowiec. W. Vibram z Drezna. J. Zwolski z Bryniec. O. Bochus z Litwy. J. Diefenbach z Frankfurtu nad Menem.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 17 lutego. E. Torosiewicz z Brodek. Wł. dr. Lisowski i St. Homolacs z Krakowa. A. Obertyński z Nowego Sioła. K. Dorożyński i Wł. Rościszewski z Podola rosyjskiego. T. Ochocki z Zagrobel. A. Brandt z Kijowa. W. Grünes z Wiednia. W. Süsser z Opawy. W. Mac-Garvey z Gorlic.

Przyjechali dnia 18 lutego. Z. Obertyński z Hujcza. R. Janicki z Berezowicy. A. Germann z Węgier. St. Czaykowski z Rosyi. J. Paseczka z Wiednia. M. Goldschmidt z Moguncyi.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Spółka naftowa polska

zawiadamia, że rozpisaną na dniu 15 stycznia subskrypcyę na Iszą emisyę w kwocie 200.000 złr. zamknięto na dniu 18 lutego, ponieważ cała suma pokrytą została.

Subskrypcya na II emisyę w kwocie 200.000 złr. dla osobnej grupy interesów naftowych nastąpi później na podstawie uchwały Walnego Zgromadzenia naszych członków.

Prenotować się można na tę drugą emisyę w biurze Spółki (ul. Sykstuska l. 38) bez wszelkiego zobowiązania, tak dla prenotowanych jakoteż dla Spółki naftowej polskiej.

Prenotowani zostaną pisemnie zawiadomieni w chwili rozpisania subskrypcyi o warunkach i postanowieniach subskrypcyi.

We Lwowie 19 lutego 1895.

Zdzisław Obertyński, Stanisław Matkowski Adam Trzecieski. Alfons Gostkowski.

Lwów dnia 19 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 218·50 do 221·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 310.— do 313·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·—, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·80 do 98·50, 4 proc. los. w 56 lat. 97·70 do 98·40.

Obligi za 100 zł: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·80 do 98·50 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·79 do 5.89, Napoleondor 9.79 do 9.89, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.34, 100 marek niemieckich 60.30 do 60·90.

Wiedeń 18 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 414·37, węgierskie kredyty 501.75, anglobank 183·90, bankverein 161·10, uniony 329·50, länderbank 289·00, akcye kolei państwowych 398·12, lombardy 107·00, elbethal 279.—, akcye tytoniowe 241.00, rima 284.00, alpiny 91·70, renta majowa 102.15, węg. renta złota 124·50, austr. renta koronna 100·20, węgierska renta koronna 99·57, losy tureckie 73·20, marki 60·66, ruble 133·—.

Wiedeń 19 lutego (godz. 11 w połudn.) Kredyty 414.50, kred. węg. —.—, Anglobanki 184.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 289.30, Akcye tyton. 241.—, Staatsbahny 398.25, Lomb. (z kup.) 107.—, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.57, Losy tureckie —·—.

34)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— I ja też cieszyłam się, choć Bogiem a prawdą nie było czego. No, Maryś, zdejm imbryk z ognia, bo herbata przeciągnie. Joasiu, pokraj cytrynę w plasterki. Ojcze, ruszże się i częstuj gości. Ben Carter zaśpiewa nam jaką piosenkę. Ale gdzież jest Marysia? Nie widzę jej — dodała, oglądając się daremnie za rumianą twarzą i błyszczącemi oczyma swej pierworodnej córki.

Dziewczyna znikła; Ben Carter zasępił czoło, a młodzież śmiejąc się i potrącając łokciami, zaczęła szeptać pomiędzy sobą, bo w chwili, gdy Wace uderzył w pełne struny swych skrzypek, intonując znaną ludową piosenkę „Cherry Ripe", twarz nowego przychodnia ukazała się w drzwiach izby.

Bob Ryall z policzkami zarumienionemi od mrozu, z wypomadowanemi i starannie zaczesanemi włosami, w czarnym kortowym garniturze i śnieżnej białości kołnierzyku, z gałązką ostrokrzewiu zatkniętą za czapkę, stanął uśmiechnięty w progu, życząc wesołych świąt całej zebranej kompanii. Za nim również uśmiechnięta i zaróżowiona ukazała się Marysia, poprawiając wstążki u włosów, wylękniona nieco, czy kto nie podsłuchał niedyskretnie prywatnego jej powitania gościa u drzwi wchodowych.

Bob był powszechnie lubianym, to też twarze wszystkich obecnych rozjaśniły się na jego widok.

— Dobry wieczór, panie Ryall — powitał go serdecznie gospodarz. — Lepiej późno niż nigdy. Czemże ci można służyć?

— Najpierw pocałunkiem — odparł nowoprzybyły, obejmując ramieniem okazałe kształty gospodyni i całując ją w tłuste policzki.

Głośny śmiech powstał w izbie, a mistress Niblett, odsuwając żartobliwie natrętnego gościa, rzekła:

— Pan Ryall londyńskim obyczajem wielkich panów przybywa o całą godzinę zapóźno.

— Śnieg mi przeszkodził, kochana pani — tłómaczył się Bob. — Myślałem, że nigdy żywcem nie wybrnę z niego.

Przybycie zaufanego sługi pana Andrzeja Marlowe podziałało jak słońce w dzień pochmurny na żniwiarzy. Całe towarzystwo ożywiło się, bo też każdemu rzucił on jakieś dowcipne słówko lub żarcik. Posiadał przytem różne talenta, z któremi chętnie popisywał się dla zabawy gości. Nawet Ben Caret rozchmurzył czoło i grubym głosem zaczął śpiewać „Wiejskiego kowala", potem Bob zanucił komiczną jakąś piosnkę, naśladując przytem głosy różnych zwierząt i ptaków, w końcu jął dziewczętom pokazywać twarze przyszłych ich mężów w cebrze wody i produkować różne sztuki kuglarskie ku wielkiej uciesze całego zgromadzenia, a niepomiernemu zgorszeniu zazdrosnego Bena, który ani razu nie uśmiechnął się z jeko konceptów, dziwiąc się w duchu, że dorosły mężczyzna może się bawić w takie błazeństwa.

Jednemu tylko pragnął Bob Ryall zapobiedz jakimbądź sposobem, to jest aby rozmowa nie przeszła na temat tragicznego wypadku we dworze. Cóż w tem było tak bardzo dziwnego, że biedna jakaś zbłąkana podróżna, nie będąca przy dobrych zmysłach, zmarła podczas zawiei w parku? — rzekł, odsuwając na bok, przedmiot jako zgoła nieciekawy. — Noc była ciemna, choć oko wykól... mogła łatwo zmylić drogę. Cóż państwo temu winni, że się to stało pod ich drzwiami? Niechnoby kto ośmielił się słowo powiedzieć przeciw nim, to on Robert Ryall, potrafi mu odpowiedzieć na to.

— Wiadoma rzecz, że pan obstajesz za rodziną Marlowów — rzekł pisarz Wace — bo też zawdzięczasz im wiele! Pamiętam, jak dzisiaj, kiedy pan Andrzej bledziuchnego jak kreda i całkiem bezprzytomnego niósł cię na plecach do domu.

— Nie ma obawy, abym o tem zapomniał kiedykolwiek — odparł Ryall. — Jeżeli sobie pan przypominasz, to sam panicz blizkim był zemdlenia i cały krwią zbroczony.

— Jakże to było? Opowiedz nam, Robercie — zagadnął gospodarz. — Nalejcie szklanki i napełnijcie fajki, bracia i słuchajmy.

— Nie ma tak dalece nic ciekawego do opowiadania — odparł Robert — ale jeżeli taka wasza wola, to wam służę historyą mego życia. W dziesiątym roku zostałem sierotą. Przygarnął mnie do siebie stryj... wielki nicpoń i pijak, choć to mój krewny. Dbał o mnie tyle, co pies o piątę nogę. Wałęsałem się bez opieki żadnej i z próżniactwa wyuczyłem się chodzić na rękach i wyprawiać różne łamane sztuki, za co nie jeden przechodzień rzucił mi miedziaka. Pewnego dnia Tim Stanley, cygański łatacz kotłów, zobaczył mnie, a że potrzebował chłopaka, któryby nosił za nim ciężary kiedy był trzeźwy, co się rzadko zdarzało, i nad którym mógłby znęcać się kiedy był pijany, więc kupił mnie od mego kochającego stryja za całe pięć szylingów i zabrał z sobą na wędrówkę po kraju. Żona jego, Małgorzata, była to poczciwa kobieta w całem znaczeniu, obrywała nieraz porządne szturchańce od męża, stając w mojej obronie. Tim był to rosły i barczysty chłop w sile wieku, a pięść miał żelazną, zwłaszcza kiedy sobie podchmielił. Ona była młoda i ładna. Nie rozumiem zgoła, co jej się mogło podobać w tym grubianinie.

Rok cały wędrowałem z tą niedobraną parą po świecie. Byłbym niejednokrotnie nogi wziąwszy za pas, uciekł od mego ciemiężcy, który tłukł mnie niemiłosiernie i przeklinał na czem świat stoi, choć służyłem mu uczciwie i zarabiałem dla niego sporo grosza, ale wstrzymywała mnie myśl o Małgorzacie i dziecięciu, które przyszło na świat wkrótce potem, kiedy kochający mój opiekun zaprzedał mnie cyganowi z ciałem i duszą. Doszło do tego, że pewnego dnia, w początkach jesieni, skutkiem brutalnego obchodzenia się ze mną mego chlebodawcy, nie mogłem już utrzymać się na nogach. Pełzałem na czworakach po ziemi, pod kijem, który nie przestawał świszczeć nad mojemi pokrwawionemi plecami. W końcu ległem w rowie, przekonany, że już przyszedł ostateczny kres na mnie.

— Przestań, Timie — błagała poczciwa Małgorzata, płacząc rzewnie. — Czyż nie widzisz, że biedne chłopczysko ledwie dyszy?

Wtedy on zaklął straszliwie i pchnął ją tak gwałtowne w same piersi, że upadła na ziemię, a dziecko wyleciało jej z ramion. Zanim zdołała się podnieść, ten potwór rzucił się znowu na mnie z całą zaciekłością rozjuszonego zwierza, gdy naraz głos jakiś zawołał rozkazująco z góry: „Puść zaraz tego chłopaka, łotrze jakiś, albo ja cię nauczę!" Jednocześnie usłyszałem trzask łamiących się gałęzi i nagle jakby spadł z nieba ku nam piękny, śmigły jak trzcina młody panicz o czarnych oczach, pałających oburzeniem. Nie mówiąc słowa więcej, poskoczył ku cyganowi i jednem uderzeniem trafnie wymierzonem w piersi, powalił osłupiałego ze zdziwienia o ziemię. Trzeba było słyszeć, jak pijanica ryknął ze wściekłości, odgrażając się, że się zemści i powoła napastnika przed sądy. Nie porwał się jednak z pięścią na niego. Wtedy pan Andrzej zapytał go krótko i węzłowato, dlaczego się tak pastwi nademną i czy byłem jego synem? Tim jął wymyślać na mnie, żem próżniak i darmozjad, dodając, że ma prawo robić ze mną co mu się podoba, bo mnie kupił, tak samo przed rokiem kupił sobie Małgorzatę na jarmarku, zapłaciwszy za nią jednego suwerena. Wtedy pan Andrzej ofiarował mu pół suwerena za mnie, ale Tim odparł, że to za mało, choć z takiego chorowitego cherlaka, jak ja, nie miał żadnej korzyści.

— Chcesz, mój piękny siłaczu — dodał zjadliwie — to bijmy się na pięści o tego gagatka. Jeżeli mnie zwyciężysz, to go sobie zabierzesz jak swego, a mnie dasz pół suwerena. Jeżeli zaś ja cię powalę o ziemię, to chłopak i pieniądze zostaną przy mnie, a ty sobie pójdziesz jak niepyszny i drugi raz nie będziesz się wtrącał do nieswoich rzeczy.

— Zgoda — odparł pan Andrzej, zrzucając w mgnieniu oka tużurek i kamizelkę i zakasując rękawy od koszuli. — Trzeba było widzieć, jak się zabierał do roboty. Ja byłem tak odrętwiały z bólu, że przed chwilą już mi to było obojętnem, czy Tim okłada mnie kijem, czy nie. I owszem, myślałem sobie, niech bije i ubije mnie na śmierć, raz przecież będzie temu koniec. Ale widok pana Andrzeja, jak stanął do walki z tym olbrzymem, byłby w stanie wskrzesić umarłego. Wyprężył się jak struna, a szczupły był, wątły na oko, biały na twarzy, jakby jaka panienka. Ale Chryste Panie! jakże nacierał na tego pijanicę! Skręcał się, zwijał w kłębek tak, że Tim nie mógł go żadną miarą dosięgnąć. Bo, widzicie państwo, pan Andrzej miał za sobą naukę, a cygan tylko siłę brutalną. W końcu jednak siła przemogła. Panicz został pokonany, a Małgorzata zaledwie mogła się go dotrzeźwić wodą, zaczerpniętą ze źródła.

Ale zaledwie przyszedł trochę do siebie i obmył z rąk i twarzy ślady krwi, podał Timowi pieniądze i zaproponował mu powtórną walkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Bielsku. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Berg.